Nr. 31. Poznań, Niedziela 4. sierpnia 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„**Przegląd Poznański**“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TRESC.

Kwestya rolnicza w środkowej Europie.

I.

Niema dziś bodaj, z wyjątkiem chyba francuzkich dzienników, ani jednego pisma na europejskim kontynencie, któreby raz przynajmniej nie zabierało głosu w sprawie szerzącego się obecnie kryzysu rolniczego. Ale bo też to kwestya bytu lub niebytu dla całej dzisiejszej gospodarki narodowej. A co więcej, jest to sprawa po dziś dzień nierozwiązana.

Wobec tego sądzimy, że nie nadużyjemy cierpliwości czytelników „Przeglądu“, gdy i my wypowiemy słów parę, w kwestyi poruszonej w Nr. 26 i 27 przez kolegę: „I. B. M.“, a to tem bardziej, że dla naszego, na wskroś niemal rolniczego kraju, kwestya agrarna posiada jeszcze większe niż dla innych narodów znaczenie.

Jak to już czytelnicy nasi mogli się przekonać z artykułu: „Przesilenie ekonomiczne w rolnictwie i wniosek hr. Kanitza“, istnieje dziś cały szereg projektów rozwiązania kwestyi rolniczej. Nie brakło ani profesorów uniwersytetów, ani deputowanych do parlamentu i Sejmu, ani wreszcie osób prywatnych w szeregach wynalazców nowych sposobów, ku zażegnaniu panującego w europejskim rolnictwie przesilenia.

Planów więc rozstrzygnięcia kwestyi agrarnej dość mamy. Lecz wszystkie one grzeszą kardynalnym błędem: Brak im bowiem niezbędnego teoretycznego fundamentu. Nowożytna kwestya rolnicza nietylko nie jest nierozwiązaną, lecz co gorsza, nie jest dotychczas zrozumianą. Dedukują się dziś najprzeróżniejsze praktyczne polityczno-ekonomiczne wnioski z takich postulatów teoretycznych, które, być może, niegdyś formułowały słusznie istniejący stan rzeczy, lecz dziś posiadają jedynie wartość historyczną.

Wszystkie niemal dotychczasowe teorye renty gruntowej, cen ziemi i produktów rolniczych, zgadzają się, z wyjątkiem niektórych okolicznościowych koncepcyi szkoły manchesterskiej, posiadającej dziś jeszcze swych zwolenników we Francyi, na twierdzenie, że ceny wytworów rolniczych równają się kosztem ich wytwarzania na najgorszych gruntach.

I wszystko jedno, czy dany ekonomista sądzi wraz z Ricardo, że produkcya rolnicza w rozwoju swym przechodzi od lepszych do gorszych gruntów, czy też mniema on za przykładem Carey'a, że naprzód brane są pod uprawę gorsze ziemie, a później dopiero wydajniejsze — w każdym razie wierzy on święcie, że produkcya agrarna i ilość poddanych kulturze gruntów wzrasta o tyle tylko, o ile zwiększa się zapotrzebowanie na wytwory rolnictwa. Ztąd zaś wnioskuje on w dalszym ciągu, że społeczeństwo musi dostatecznie wynagrodzić wszystkich bez wyjątku wytwórców produkujących zarówno na najgorszej jak i na najurodzajniejszej glebie, inaczej bowiem właściciele mniej wydajnych gruntów zarzuciliby produkcyę i naród pozostałby bez chleba. Że zaś na rynku każdy korzec zboża jest równy wszelkiemu innemu korcowi zboża, gdy tylko jakość ich jest identyczną, więc też i cena ich musi być jednaką, niezależnie, czy na lepszych, czy na gorszych gruntach były one wytworzone. 10 korcy pszenicy zebrane na mordze pierwszorzędnej gleby będzie posiadać tę samą cenę, co 10 korcy wytworzonych na dwóch morgach pośledniejszej ziemi. Że zaś i właściciel najgorszego gruntu musi wyjść na swojem, cena więc zarówno pierwszych, jak i drugich 10 korcy pszenicy musi pokryć koszta uprawy owych dwóch morgów gorszego gruntu.

Całe to rozumowanie jest bezsprzecznie logiczne i słuszne — lecz tylko wtedy, gdy przyznamy racyę założeniu, że produkcya rolnicza wzrasta w miarę zapotrzebowania.

W początkach bieżącego stulecia twierdzenie to nie było pozbawione słuszności. Rynkiem zbytu był przeważnie kraj własny, jeśli nie najbliższa nawet okolica. Handel zbożem nie stanowił jeszcze przedmiotu wielkich spekulacyi; pszenica, żyto, kartofle nie figurowały jeszcze w transakcyach wszechświatowego rynku, a co najważniejsza, produkcya rolnicza nie podpadła była jeszcze pod panowanie wielkiego kapitału.

Dziś stan rzeczy zmienił się gruntownie.

Z rozwojem nowoczesnej gospodarki kapitalistycznej zasadniczo zmienił się handel, z dniem każdym koncentrując się coraz bardziej, rozszerzając teren swych operacyi i coraz wyraźniej przybierając charakter spekulacyjny. Rynek stał się z krajowego wszechświatowym, a równocześnie z miejsca wymiany różnorodnych użyteczności a jednorodnych wartości towarów przedzierzgnął się w olbrzymią giełdę, gdzie walorami — istniejące i oczekiwane dopiero towary, a grą giełdową — transakcye handlowe. I los ten spotkał wszelkie niemal gałęzie i rodzaje handlu. Kapitalizm po dziś dzień nie opanował jeszcze całkowicie produkcyi rolniczej, lecz handel wytworami rolnictwa — musiał się jeden z najpierwszych poddać nowym, przezeń stworzonym wymogom.

Nie pozostało to bez poważnego wpływu na samąż produkcyę rolniczą. Poczęła ona coraz wyłączniej wytwarzać dla rynku wszechświatowego, a tem samem została zniszczoną dawna harmonia, która między zaofiarowaniem a zapotrzebowaniem istniała. Gdy poprzednio popyt regulował podaż, dziś podaż i popyt stały się całkiem równoważnymi czynnikami, wzajemnie oddziaływującemi na siebie; żaden z nich nie jest pierwotnym, ani też wtórnym. Produkcya rolnicza prowadzi się dziś na oślep, bez dokładnej znajomości rynku, tak samo, jak i produkcya fabryczna.

Niektórzy z najnowszych ekonomistów zrozumieli fakt ten co prawda, lecz skonstatowawszy go, pospieszyli zbyt powolnie wygłosić twierdzenie, że stosunki rolnicze niczem się zasadniczo od przemysłowych nie różnią, że rozwój ich zatem, tak samo jak w dziedzinie produkcyi fabrycznej, do coraz większej koncentracyi kapitałów prowadzić będzie, przyczem przedstawiają oni Amerykę jako krainę własności wielkiej, Europę zaś zwą ziemią drobnych i średnich parceli.

W rzeczy samej istnieje bynajmniej niemało ważna różnica między obu temi rodzajami gospodarczej działalności narodów. Polega ona przedewszystkiem na tem, że kapitały, umieszczone w rolnictwie, są znacznie mniej ruchome od kapitałów przemysłowych.

Składa się na to kilka przyczyn. Pierwsza i najoczywistsza z nich, to owa techniczna różnica, jaka zachodzi między narzędziami i materyałami pracy, używanemi w rolnictwie a przemyśle. Gdy te ostatnie dadzą się w części przynajmniej zastosowywać do różnych gałęzi przemysłu, a w ten sposób wycofywać z jednej i przenosić do innej, — maszyny robocze, budynki gospodarcze, a tem bardziej ziemia jedynie do produkcyi rolniczej służyć mogą.

Druga, ważniejsza jeszcze bodaj przyczyna — to odmienny stosunek kapitału stałego i obiegowego, a także różny ich skład wewnętrzny na wsi i w fabryce.

W rolnictwie bowiem kapitał obrotowy składa się niemal wyłącznie z płacy najemnej, w niewielkiej zaś tylko części z kosztów zakupu i naprawy narzędzi rolniczych, gdyż nasiona, inwentarz i pasza to produkty samegoż gospodarstwa. W przemyśle natomiast do kosztów najmu przyłącza się olbrzymi wydatek na materyał produkcyi, jako to: na bawełnę, węgiel, koks, rudę żelazną etc. Tak więc kapitał obrotowy nietylko jest ceteris paribus jakościowo mniej złożonym, lecz ilościowo mniejszym w rolnictwie niż w przemyśle.

Odmiennie rzecz się ma z kapitałem stałym. Cena gruntu, jak to w swym czasie wykazał Rodbertus, jest tylko skapitalizowaną rentą

gruntową. Dla większej jasności wytłomaczymy twierdzenie to na przykładzie.

Przypuśćmy, że pewien majątek ziemski daje 10,000 marek rocznego dochodu netto, że kursująca stopa procentowa jest 6 proc., że kapitał obrotowy wynosi 10,000 marek. W takim razie procent od kapitału obrotowego wyniesie 600 marek. Pozostałe 9400 marek zwiemy rentą gruntową. Cena zaś ziemi wyniesie — 156 666(6) m.

6 : 100
9400 : x
x = 156,666 . . . (6)

W praktyce wszakże daje się zawsze zauważyć pewne uchylenie od tej reguły Rodbertusa. Procent mianowicie, na zasadzie którego dokonywuje się kapitalalizacya renty gruntowej niższym jest od ogólnie kursującej stopy dochodowej, a to ponieważ lokacje w ziemi pewniejsze są, niż jakiebądź inne, czy to w papierach wartościowych, czy też w przedsiębiorstwach przemysłowych i handlowych. Że tak jest a nie inaczej w rzeczy samej widać choćby ztąd, iż procent dochodowy w rolnictwie niższym jest niż w innych gałęziach produkcyi.

Jakiż ztąd wniosek? spróbujmy wykazać go znów na przykładzie.

Przypuśćmy, że pewne przedsiębiorstwo przemysłowe posiada 156,666(6) m. kapitału stałego i 10,000 m. kapitału obrotowego. Stopa zaś dochodowa jest 6 proc. W takim razie suma dochodu netto danego przedsiębiostwa równać się będzie 10,000 m.

Weźmy teraz majątek ziemski, obracający rocznie 10,000 m. kapitału, zwykła stopa procentowa wynosi również 6 proc. W takim razie renta gruntowa równać się będzie 9400 marek. Lecz kapitalizować się będzie ona już nie na zasadzie 6 proc., jeno 4 proc. A w takim razie cena ziemi, czyli kapitał stały majątku równać się będzie 23,500.

4 : 100
9400 : x
x = 235,000

Widzimy zatem, że ceteris paribus kapitał stały przedsiębiorstwa przemysłowego mniejszym będzie od kapitału stałego majątku ziemskiego o (235,000—156,666 = 78,334 marek. Poprzednio wszakże powiedzieliśmy już, że kapitał obrotowy jest w stosunku do kapitału stałego mniejszym w rolnictwie, niż w przemyśle. Stosunek zatem kapitału stałego do obrotowego jest w rolnictwie aż z dwóch przyczyn większym niż w przemyśle.

Lecz jasnem jest, iż kapitał stały o wiele mniej jest ruchomym od kapitału obrotowego. Kapitał stały daje się przenosić z jednych rąk do drugich drogą sprzedaży, lecz z trudnością i nigdy w całości nie da się przenieść z jednej gałęzi produkcyi do drugiej. W rolnictwie zaś, jakeśmy to już wspomnieli, trudności te są tem większe.

Str.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego

„G a z e t a G r u d z i ą d z k a“ donosi w numurze 87, że redaktorowi jej nowy wytoczono proces, i takie do wiadomości tej załącza uwagi:

„Ciernista to droga, po której kroczą redaktorzy pism polskich pod zaborem pruskim; wiedzie ona najczęściej do celi więziennej, albo kierownik pisma spotyka się też na niej z licznemi karami pieniężnemi, które zdolne zachwiać byt mianowicie młodych pism polskich.

Nie powstrzyma to jednakże żadnego uczciwego redaktora od obrony naszych świętości religijnych i najcenniejszych skarbów narodowych. To też i my nieustraszenie i wytrwale dalej kroczyć będziemy na raz obranej drodze, jak dotąd tak i nadal przy każdej okazyi piętnować będziemy haniebne postępowanie wrogów wiary naszej św. i polskości, niegodziwość i nadal nazywać będziemy niegodziwością, nikczemność nikczemnością, małoduszność małodusznością, bo pierwszym naszym obowiązkiem jest mówić prawdę, choćby ta prawda miała być cierpką dla tych, którzy pałają nienawiścią ku wszystkiemu co polskie, choćby nas za to spotkać miały i kary pieniężne i więzienie.

Dawno już powiedzieliśmy, że nie ma drugiego pisma polskiego, któreby tak było strzeżonem, tak szpiegowanem, jak „Gazeta Grudziądzka“; pismo to bowiem młode, więc słabe, łatwiej zatem przywiedzionem zostać może do upadku od pism starszych, które się już utrwalić zdołały, upadek zaś „Gazety Grudziądzkiej“ jest najgorętszem pragnieniem wrogów naszych, dla których ona jest niejako widzialnym wyrzutem sumienia.“

—

Z powodu wyborów w pszczyńsko-rybnickim powiecie takie zamieszcza uwagi „G a z e t a O p o l s k a“ w nr. 61:

„Wskutek śmierci ś. p. posła Conrada muszą się odbyć, jak wiadomo, w pszczyńsko rybnickim okręgu wyborczym tak do sejmu pruskiego jak do parlamentu niemieckiego nowe wybory. W raciborskiej „Oberschlesiche Volkszeitung“ pojawiła się już wiadomość, że komitet wyborczy tamtejszego okręgu postawił jako kandydata do parlamentu ks proboszcza Wolczyka, a jako kandydata do sejmu rzecznika (adwokata) Albersa z Raciborza.

Co do ks. Wolczyka, to kandydatura jego byłaby z pewnością wyborcom przyjemną, gdyż ks. Wolczyk odznaczył się już jako poseł do sejmu pruskiego, zabierając niejednokrotnie głos, aby w energiczny i stanowczy sposób bronić praw górnoszląskiego ludu. Zaś względem kandydatury p. Albersa nadmienia „Oberschl. Volksztg.“, że pan ten zażywa wielkiej przychylności ze strony polskiego ludu, ponieważ włada polskim językiem. Szczęśliwszego wyboru, pisze „Oberschl. Volkszeitung“, nie można było zrobić. Racibórz może być dumnym na swego współobywatela.

Wobec twierdzenia „Oberschl. Volksztg.“, że pan Albers zażywa przychylności polskiego ludu dla tego, że umie po polsku, wypada nadmienić, że lud polski już teraz przestał mierzyć przyjaciół swoich podług tego, czy umieją mówić po polsku lub nie, gdyż niejednokrotnie się już przekonał, że tak zwani przyjaciele jego umiejący po polsku, byli zwolennikami powolnej germanizacyi. Nie jedynie więc o znajomość języka polskiego ludowi chodzi, ale mianowicie o ducha, jakim przyszły poseł dla ludu jest ożywiony. Że co do tego ducha nawet niemiecko-katolickie gazety nie są jednej myśli, tego dowodem jest polemika, jaka pomiędzy niemi wskutek postawienia kandydatury p. Albersa się wszczęła...

Niechże więc wyborcy w pszczyńsko-Rybnickiem przerwą nareszcie dotychczasowe milczenie, niech się odezwą do swoich gazet ze swemi życzeniami, niech mianowicie starają się o to, aby kandydat do sejmu był według woli ludu polskiego, umiejący nietylko po polsku, ale czujący i myślący w duchu ludu i obeznany pod każdym względem, duchowym i materyalnym, z potrzebami ludu.

Lud polski w Pszczyńsko-Rybnickiem ma główne słowo do powiedzenia, gdyż ten okręg jest prawie zupełnie polski. Więc nie zasypiajcie gruszek w popiele. Gazety nic wam nie pomogą, jeżeli wy sami się nie ruszycie i nie objawicie stanowczej woli do walczenia za swoją własną sprawę. Czekamy zatem wiadomości z okręgu pszczyńsko-rybnickiego.

Kandydatura p. Albersa z pewnością się nie będzie mogła utrzymać bo już ta okoliczność niekorzystnie dla niego przemawia, że „Oberschl. Anzeiger“, znany z nieprzychylności dla Polaków, w jednym z ostatnich numerów bierze go w obronę.“

—

Tej samej sprawie poświęca „K a t o l i k“ w nr. 87 następujące uwagi:

„Co do nas, to wiemy, że p. Albers bardzo czynny bierze udział w katolickich niemieckich związkach i miewa w nich często niemieckie wykłady, odczyty. Dalej wiemy, że na ostatnim wiecu katolickim w Raciborzu i innych zebraniach miewał niemieckie mowy. Natomiast nie przypominamy sobie, ażebyśmy kiedy czytali, że p. Albers też był n. p. w polskim robotniczym związku w Raciborzu, albo żeby na jakiem zebraniu polską mowę powiedział. Wogóle nazwisko p. Albersa jest między polskim ludem głównie znane jako nazwisko adwokata, mało znane jako polityka, najmniej znane jako takiego przyjaciela ludu polskiego, że za wymienieniem jego miana serce ludu się rozgrzewa i gorąco ku niemu bije, jak to n. p. jest z nazwiskiem ks. prob. Wolczyka.

„Katolik“ mówi tedy tak: Zanim wyborcy obu powiatów na p. Albersa się zgodzą, muszą na publicznych zebraniach z jego własnych ust w polskim języku się dowiedzieć, jak się na różne sprawy zapatruje, jakie ma zdanie, jak będzie głosował w różnych sprawach. Wyborcy mają prawo się domagać od kandydata, aby jasno i dokładnie wypowiedział, co myśli o sprawach lud obchodzących, o sprawach duchowych i materyalnych.“

—

SVEN LANGE.

ENGELKE.

Tłomaczyła **Marya L.**

(Ciąg dalszy.)

Młody lekarz, nizki brunet o czarnych, śmiejących się oczach i ujmującym wyrazie twarzy, a tak ruchliwy i zwinny, że mimowoli małpę na myśl przywodził, — śmiał się serdecznie z Bergströma, gdy mu tenże z smutną miną niemiłą swą przygodę opowiedział. Z największą uprzejmością pospieszył następnie z objaśnieniami, przyczem prosił Bergströma, sprawy tej, jako mało znanej w mieście, nie rozpowiadać.

W ogóle mógł on zupełnie uspokoić Bergströma. Nörgaard miał rzeczywiście stosunek z tą dziewczyną, którą następnie, gdy mu się sprzykrzyła, brutalnie porzucił, faktem jest i to, że się nią potem on sam zaopiekował, gdyż była nieszczęśliwa i chora... Wszystko to prawda, lecz „dziecko“ było bajką w całem tem zdarzeniu.

Wracając do domu był Bergström zupełnie zadowolonym i sądził mieć ku temu prawo. Bo też zadziwiająco wszystko dobrze się udało w tej aferze całej, — lepiej o wiele niż — mówiąc szczerze — na to zasługiwał. Pełne obawy chwile ostatnich dwudziestu czterech godzin, były dlań nauczką; zapowiadał też sobie, nigdy więcej podobnej nie popełnić nieostrożności. Jakie to miłe uczucie, modz drogiej swej narzeczonej znowu prosto patrzeć w oczy! Teraz mógł!

Do zupełnego tryumfu brakło tylko tego nieszczęsnego „dziecka“, mniejsza o nie! Ale jakie to komiczne wszystko, nad wszelki wyraz komiczne! Engelke tego samego pewnie będzie zdania, bo też jaka z niej w istocie głęboko myśląca natura, jak bez uprzedzeń, przesądów! Niewiele takich jest kobiet!

Wszystko więc składało się o wiele lepiej niż to w najśmielszych marzeniach swych przypuszczał. Cieszył się już na myśl, jak o tem wszystkiem Engelce opowie . . . jak ją to będzie bawiło! Wyszukiwał w myśli rozmaitych wyrażeń dowcipnych, lekkich dwuznacznych napomknień, któremi delikatnie omijać będzie trudności opowiadania nieprzyzwoitych szczegółów zdarzenia.

Przyszedłszy do domu, napisał do niej, czy nie zechciałaby na drugi dzień przyjść do niego, by sam na sam, bez ojca pogawędzić mogli.

* * *

Nazajutrz przed południem siedział on w swym pokoju, oczekując jej przybycia. Mimo przeświadczenia, że nie miał powodu obawiać się, był zdenerwowany i niecierpliwy.

Mógł przecież Engelkę zupełnie uspokoić, miał pożądane dowody w ręku... a jednak... a jednak!...

Wtem rozległ się w przedpokoju głos dzwonka; wybiegł z pokoju, by jej drzwi otworzyć. Chciał ująć ją w swe ramiona i uścisnąć, lecz cofnęła się i, nie spojrzawszy nań nawet, wprost do pokoju weszła. Dziwna rzecz, jak ona się spieszy, pomyślał, i wszedł za nią nieco zakłopotany, obrażony trochę....

Gdy wszedł, stała w drugim końcu pokoju, przy oknie, twarzą na pokój zwrócona. Na tle jasnem okna odbijała wyraźnie mała jej postać i stała, patrząc mu prosto w oczy. Woalki nie podniosła, a w ręku trzymała jeszcze parasolkę.

— A więc? — spytała.

— Uniżony sługa twój — rzekł nieco ironicznie, kłaniając się z przesadą — prosić cię ośmiela, byś usiąść zechciała najpierw. Bądź jak u siebie w domu. — Jak głupio ona to osądziła — pomyślał — jak niesłusznie! Wszak to ja mam najzupełniejszą słuszność, czyż tak nie jest?

Engelke pozostała na swoim miejscu.

— Ależ najdroższa moja, proszę cię zdejm okrycie, usiądź proszę, mamy jeszcze dość czasu!

„Kuryer Poznański“ zamieścił w najświeższym czasie artykuł, zaprzeczający twierdzeniu jednego z pism berlińskich, że duchowieństwo nasze przejęte jest duchem narodowo-polskim. W wywodach swoich postawił klerykalny organ między innemi zasadę, że *„księża mogą i powinni być ożywieni jedynie duchem katolickim“*. Sprawie tej poświęca „Goniec Wielkopolski“ następujące uwagi:

„Duchowieństwo, jeżeli ma skutecznie oddziaływać na publiczność, musi posiadać zupełne jej zaufanie. A czyż podobna, aby pozyskało sobie to zaufanie, jeśli nie odczuwa potrzeb ziemskich czyli narodowościowych tejże ludności?

Smutne przykłady tego, do czego doprowadza różnica poglądów pod względem narodowości pomiędzy pasterzem a parafią mamy tak często na Górnym Szląsku, a nawet teraz już w Prusach Zachodnich, że przypomnimy tylko Sztum, gdzie poważani i gorliwi obywatele skarani zostali ciężkiem długoletniem więzieniem, ponieważ pomiędzy nimi a ich duszpasterzem nie było tego łącznika duchowego, o którym tu mówimy.

My nie chcemy dopuścić do takiego stanu i dla tego robotę „Kuryera Poznańskiego“ nazwać jesteśmy zniewoleni wręcz szkodliwą i podkopującą podstawy naszego bytu.

Nie ci zatem, którzy bronią interesów narodowościowych, a którym „Kuryer“ udowodnić nie jest w możności, aby walczyli kiedykolwiek z katolicyzmem, są agitatorami, podkopującymi powagę Kościoła, lecz właśnie „Kuryer Poznański“, który ultralojalizmem pragnie pomiędzy duszpasterzy a ich parafianami wbić klin indyferentyzmu; on to podkopuje tę powagę i on z tego właśnie powodu najniebezpieczniejszym jest agitatorem, przed którego zgubnem działaniem jak najenergiczniej należy ostrzegać.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Organ partyi młodosłowinskiej, wychodzący codziennie w Lublanie „Slovenski Narod“ pisze pod nagłówkiem: „Njemci a Slavjane“:

„Cylejska rozprawa w parlamencie austryackim zmieniła całkiem jego oblicze. Zeszły z planu względy wysokiej polityki koalicyi, stanęły przeciw sobie dwa obozy: słowiański i niemiecki. Nie pytano się, czy kto Chorwat, Czech, Polak, Rusin, ale wszyscy niby jedna dusza, jedną myślą przeniknięci, myślą słowiańską stanęli w jednym szeregu przeciw wrogowi odwiecznemu: Niemcom. Z drugiej strony stali przeciw Słowianom antysemici, sojusznicy Młodoczechów, lewica i wszystkie stronnictwa niemieckie.

„Polacy znani z tego, iż mniej gorąco na sprawę słowiańską się zapatrują, przypomnieli sobie w chwili ważnej, że w ich żyłach stara krew słowiańska płynie. Minister polski Madeyski padł z tego powodu, ale był to upadek za sprawę świętą i sprawiedliwą, jaką jest sprawa słowiańska.

„Znowu się Niemcy mogli przekonać, że Austryą można rządzić bez nich.

„Nas Słoweńców najbardziej raduje, iż gimnazyum mamy do zawdzięczenia naszej braci słowiańskiej. Fakt ten wzmocni węzły pomiędzy Słowiańszczyzną a nami. Tego zwycięztwa nie bylibyśmy odnieśli, gdyby nie Polacy. Gdyby się byli Polacy dali uwieść liberałom, sprawa byłaby upadła, bo nas Młodoczesi opuścili, głosując w trzeciem czytaniu przeciw budżetowi, a więc i przeciw gimnazyum. Konserwatyści, głosując za nami, nie uczynili tego ze sympatyi ku nam. Dla nich była to kwestya bytu. Stronnictwo to byłoby się rozpadło, jak się obecnie rozpada lewica. Polacy nie znali naszych stosunków, ani też Niemców, więc dali się im dotychczas za nos wodzić. Dziś poznawszy stosunek Polaków szląskich do Niemców zapewne rozbrat wezmą z nimi na zawsze...“

* * *

Chorwacki „Obzor“, organ partyi Strossmayera pisze o stosunku Serbów do Chorwatów:

„Niedawno temu wystąpiliśmy z szeregiem artykułów, omawiających konieczność zgody pomiędzy Serbami i Chorwatami i potrzebę ostatecznego porozumienia się. Niestety o Serbach musimy orzec, co swego czasu powiedział Talleryand o Burbonach, że niczego się nie nauczyli i niczego nie zapomnieli. Serbowie nie chcą nic wiedzieć o tem, żeśmy jednym narodem, że nas tylko różnią nazwiska i trwają uporczywie na stanowisku ekskluzywnem.

„To, cośmy w odpowiedzi na nasz artykuł „O razmirici srpsko-hrvatskej“ w dziennikach serbskich przeczytali, świadczy o zupełnej bezmyślności polityków serbskich. Widzimy, że dla Serbów sprawa słowiańska nie ma żadnego znaczenia, są oni zdrajcami tej sprawy, wysługującymi się Madziarom i Niemcom. Jakże może być mowa o porozumieniu się pomiędzy różnemi plemionami słowiańskiemi, kiedy w jednym narodzie serbsko-chorwackim do porozumienia przyjść nie można. Walka, którą Serbowie z Chorwatami wiodą, demoralizuje Słowiańszczyznę i czyni nas śmiesznymi...“

* * *

„Hrvatska“, dziennik chorwacki wychodzący w Zagrzebiu pod kierownictwem dr. Franka, (stronnictwo prawa) nieprzyjaźnie wobec Serbów usposobionego, w ten sposób podżega Chorwatów przeciw Serbom:

„Jeden z naszych czytelników pisze nam co następuje. Wczoraj późnym wieczorem szedłem sobie spokojnie do domu z kawiarni od „Cara Austrijackago“. Wtem zachodzi mi drogę trzech drabów. „„Stój, wołają, powiedz nam, gdzie się teraz znajdujesz?““ Zdziwiony odpowiadam: „„Gdzieżby, jeżeli nie w Zagrzebiu w Chorwacyi!““ A oni na to: „„To nie Chorwacya, to Serbia, Zagrzeb leży w Serbii; Chorwacyi wcale nie znamy. Gadaj zaraz, żeś w Serbii!““ Odpowiadam, że tego nie powiem, bo to nie prawda. Na to junacy kijem uderzają mnie po plecach i po głowie i potem w nogi.

„Słyszę, że wypadki takie powtarzają się w nocy, że całe bandy zorganizowane Serbów włóczą się po ulicach i „„srbijanstwo““ w ten sposób propagują. Zwracam uwagę na tych junaków naszej władzy bezpieczeństwa publicznego.

* * *

Do czeskich „Narodnich Listów“ piszą ze Serajewa o stosunkach panujących w Bośni i Hercogowinie:

„Lud w krajach okupowanych jest wyłącznie serbskim, ale wszystkie nasze urzędy i język urzędowy jest niemiecki. Tureckie urzędy były dla Serbów względniejszemi, bo urzędowały po serbsku. Pan Kallay, wszechwładny pan w Bośni, wynalazł osobną dla nas barwę: czerwono-żółtą, choć nią była zawsze czerwono-biało-modrą. Tutejszym Serbom uczonym zabroniono należeć do literackich towarzystw serbskich poza granicami, cenzura nie pozwala na umieszczenie żadnego wierszyka patryotycznego w tygodniku „Bozenska Vila“. Latoś rewidowano kościoły i skonfiskowano wszystkie obrazy, odnoszące się do historyi serbskiej, jako też portrety wybitniejszych Serbów.

„Co rok tysiące Serbów emigruje; na ich miejsce sprowadza p. Kallay przeważnie Niemców, a tylko mało Czechów lub Polaków. Wielu duchownych serbskich musiało kraj opuścić, pomiędzy nimi dwóch metropolitów: Kosanowicz i Ilinowicz. Również w ciągu kilku lat ostatnich unikając śledztwa i więzienia, uszło do Serbii wielu uczonych, poetów i nauczycieli.

„Gospodarując w ten sposób p. Kallay z pewnością nie zjedna dla Austryi sympatyi mieszkańców Bośni, — taka polityka robi z ludności wrogów państwa, co przecież w interesie monarchii nie może leżeć.

D. K.

— A więc to prawda? — spytała ledwie dosłyszalnym głosem.

— Co takiego? co ma być prawdą?

— Nie męcz mnie, Jerzy, wiesz dobrze o czem mówię — rzekła, uderzając niecierpliwie parasolką o podłogę.

Spojrzał na nią z wyrazem naiwności w oczach.

— Drogie dziecię, nie mogę przecież wiedzieć, o czem ty myślisz!

— A więc to prawda — powtórzyła gniewnie — że nie miał dziecka?

— No, nie miał! — odparł wzruszając ramionami. Jaka ona niemądra — pomyślał — jak niezręcznie się do tej sprawy zabiera! I w jakim celu?... Najpewniej ojciec jej to wmówił... Spojrzał teraz na nią; stała o okno wsparta, cicha, bledsza niż zwykle... zmartwiona... i nagle uczuł się wzruszonym do głębi — przyszło mu na myśl, jak ona wczoraj z powodu ojca cierpieć musiała! Biedne stworzenie!...

— Engelke — rzekł, podchodząc do niej — nie jest tak źle jak sądzisz, wierzaj mi.

Chciał objąć ją ramieniem, lecz wyrwała się i chwiejnym trochę krokiem do drzwi się zbliżyła.

— Ależ Engelko moja! zechciej mnie wysłuchać! — podszedł i ujął ją za rękę.

Odwróciła się, a mała jej delikatna twarzyczka płonęła cała z gniewu i oburzenia.

— Kłamco! — szepnęła.

Drgnął cały.

— No, no! proszę cię nie grajmy komedyi! — rzekł oschle.

— Nie! — zawołała, idąc ku drzwiom; lecz on uprzedził ją i zamknąwszy drzwi, włożył klucz do kieszeni.

— Niech ci się nie zdaje, że pozwolę ci wyjść ztąd, zanim odwołasz to, co przed chwilą powiedziałaś! Wszystko musi mieć swoje granice!

Spojrzał na nią wzrokiem pełnym gniewu. Stała tuż przy drzwiach, blada, z oczyma spuszczonemi.

— Pojmujesz chyba, że tak postępować się nie godzi! — ciągnął dalej z zapałem. — Nie wolno człowieka uczciwego posądzać o spełnienie jakiegoś niegodnego czynu, jeśli się żadnych ku temu danych nie posiada!

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Czyż nie tak? rozumie się! a ty tak potępiłaś, nie *ja*, stanowczo *ja* tego nie uczyniłem! — Przeszedł się po pokoju kilka razy, żywo gestykulując rękami. — To, co powiedziałem jest prawdą! — rzekł.

Po chwili zaś przystanąwszy przed nią, począł nagle śmiać się serdecznie.

— Posłuchajże, cała ta historya jest w gruncie rzeczy śmieszną! — a my o mało, że nie pogniewaliśmy się o nię. I o co? mój Boże! To tylko nieporozumienie. Cała ta sprawa... czyste nieporozumienie! A jakie z ciebie komiczne stworzenie, Engelko! — rzekł, siadając naprzeciw niej w fotelu. — Któżby cię mógł zrozumieć? nikt na świecie! Powiedz co ma znaczyć twa mina grobowa?... — Śmiał się, lecz spostrzegłszy, że wszystko to, bez wrażenia przechodzi, że nie przestaje przyglądać mu się w milczeniu, spoważniał nagle.

— Gdybyś tylko zechciała usiąść i wysłuchać mnie, wszystko chcę ci wyjaśnić — rzekł przekonywająco. — Chciałem cię tylko trochę przestraszyć, ale teraz już dość tego. Nie można z tobą żartować, Engelko! — dodał wesoło. — Co to będzie, jak się pobierzemy!...

— My nie pobierzemy się nigdy! — odparła głosem stanowczym.

Spojrzał na nią przestraszony, po chwili jednak z udanym humorem, przedrzeźniać ją począł.

— Nie pobierzemy się nigdy! stanowczo? Lecz dość już tego, moja droga, stajesz się, jak widzę, zanadto dowcipną.... Gdybym cię mógł nakłonić, żebyś usiadła, Engelko! — rzekł niecierpliwie.

— Nie chcesz? niech i tak będzie, — to trudno... Słuchaj, opowiem ci, jak się rzecz miała. Starałem się o najlepsze informacye co do tej sprawy, dotarłem wreszcie do samego że tak powiem — jej źródła, no! i okazało się, że opowiadanie moje najzupełniej było prawdziwem. Nörgaard miał rzeczywiście stosunek

LITERATURA I SZTUKA.

Wystawa obrazów

w teatrze polskim.

III.

W ubiegłym tygodniu zmieniła się fizyonomia wystawy naszej. Całą frontową ścianę w przedsionku teatralnem zajął obraz nader wielkich rozmiarów *Wojciecha Gersona* p. t. „Powrót jeńców polskich z Litwy za Łokietka jako wiano królowej Aldony“. O charakterze artystycznej twórczości malarza tego pisałem już na innem miejscu, — dziś zatem poprzestaję tylko na krótkiej notatce, że typowe właściwości Gersona ujawniły się i w najświeższym jego utworze, z tą jednak różnicą, że wady występują tu w słabszych akcentach, zalety natomiast z niezwykłą uderzają siłą. Pomijając pewną twardość kolorów i kilka martwych postaci, płótno to zaleca się znakomitą poprawnością rysunku i kompozycyi, a przedewszystkiem silną i różnorodną charakterystyką ludzkiego tłumu. Środkowa grupa mianowicie — dwóch młodzieńców wiodących starca ślepego — odznacza się niepospolitą plastyką a w części uduchowieniem typów. Pejzaż pod względem perspektywy i barwy jest jednym z najpiękniejszych, jakie w obrazach Gersona spotkać mi się zdarzyło.

Z krajobrazów wyróżniają się korzystnie dwa w temacie zbliżone płótna Bittmana. Bittman maluje tłusto, nie lubuje się w starych kontrastach partyi przejrzyście laserowanych do grubo nałożonych, lecz impastuje wszystko.

W obu jego pejzażach widzimy chatę rybacką i rozpięte sieci. W jednym wije się z daleka rzeka, a długie sieci schną rozpostarte ponad ziemią, w drugim odpoczywa na ławeczce starzec siwy, — niezawodnie rybak — a dwie kobiety naprawiają niewód. Malowane szerokim pędzlem obrazy, proste w motywie, a pełne światła i ciepła, odznaczają się pełnią barw lokalnych i dobrem sharmoniowaniem.

Nie mogę tu szczegółowo charakteryzować wszystkich okazów wystawy, wśród których znajduje się sporo utworów zdradzających niepospolity talent i technikę, bo musiałbym ramy sprawozdania nadto rozszerzyć i znużyć czytelników powolną wędrówką. Przyspieszam zatem kroku i zapisuję na zakończenie tylko takie momenty z obserwacyi moich, które bądź to są hołdem dla wielkiego artyzmu, bądź krytyką naszych poznańskich upodobań i przesądów.

W pierwszym rzędzie wymieniam zatem nazwisko *Stanisława Grocholskiego*, którego czarownica stanowi obok utworów Bilińskiej „*great attraction*“ wystawy. Obraz ten nieco za czarny — tłomaczy się to tendencyą wydobycia największego światła na mocy prawa kontrastu — porywa swym mistycznym nastrojem. Oblicze wiedźmy w blaskach różnobarwnych płomieni stanowi znakomity efekt kolorystyczny a pogrążona w mrokach postać dziewczyny i dziecka oraz sylweta chorego mężczyzny, wynurzająca się z czarnej głębi obrazu, potęguje wrażenie tajemniczej grozy. Wręcz niezrozumiałe natomiast są dla mnie zachwyty publiczności, wpatrującej się z lubością w maleńki obrazek starej kobiety robiącej pończochę. Nazwisko autora uleciało mi z pamięci, ale jest to niezawodnie niemiecka robótka, słodka, przekończona i miękka. Artysta pamiętał o każdej zmarszcze na twarzy i położywszy z iście niemiecką pedanteryą wszystkie kropki nad „i“, stworzył coś tak podobnego do oleodruku, tak niesmacznie wygładzonego, że zasłużył istotnie na poklask — fotografów.

„Nagie ciało“ reprezentowane było na wystawie w ślicznym półakcie Bilińskiej, — obrazu tego jednak niestety od dni kilku szukam napróżno. Szkoda mi tego ciała o lekko zaróżowionej karnacyi, tego torsu o niezrównanej plastyce i modelacyi, tego aksamitnego połysku skóry. Na szczęście pozostały w foyer teatralnem dwa inne utwory wielkiej artystki, z których jeden — miniaturowy portret byłego „Czwartaka“, — zaliczam do najlepszych obrazów artystki, — drugi — rysunek chłopa w łachmanach — posiada taką siłę charakterystyki i takie mistrzostwo układu, że bez barwy, w swym kreskowym negliżu żyje i duszę odsłania.

W dziale portretów wymieniam jeszcze *Wł. Skibińskiego* portret własny, o nadto świecącej głowie, ale malowany na ogół śmiało i szeroko, a w modelacyi poprawny.

Styka, który w najświeższym czasie zaskarbił sobie więcej rozgłosu niż zasługi ową robotą „*à ficelles et à grand effet*“, nazwaną „Polonią“ i zapożyczonem podobno z jakiegoś wiedeńskiego fryzu „Spotkaniem“, wystąpił na tegorocznej wystawie z nowym obrazem przedstawiającym „Madonnę pod krzyżem“ według słów pieśni „Juxta crucem lacrimosa“. Techniczna strona utworu nie posiada żadnych wybitniejszych zalet. Rysunek niesmacznie wyprężonej ręki o rozstawionych palcach i surowa martwota kolorytu nadają całemu obrazowi dziwaczną sztywność, niezłagodzoną nawet natchnionym wyrazem twarzy, zaopatrzonej w kilka szablonowych efekcików malarskich. A mimo to ta Madonna u nas się podoba... Ludzie zachwycają się tematem i rozczulają łzami Matki bolejącej.

W wręcz odmiennym stylu traktowane są pastele Mieczysława Rayznera. Artysta ten nie stara się bynajmniej o wydobycie psychologicznego momentu, — w utworach jego króluje szyk i elegancya. Jest to mistrz przejęty do szpiku kości atmosferą paryzkich buduarów, — jest to malarz wielkiego i małego półświatka z całym aparatem półzmysłowego flirtu, zagadkowych uśmiechów i spojrzeń, tualetowej rafineryi i finezyi. Rayznerowska maniera schlebiająca przelotnym gustom paryzkiej publiczności, nuży oko jednostajnością swoją i wywiera wrażenie przeróżnych kupletów wyśpiewanych na jednę melodyę, ale uznać w niej trzeba bądź co bądź przedziwną technikę i znakomite poczucie barwy. Dotknięcia pędzla w tych głowach francuzkich są tak lekkie, kolory tak dostrojone do zasadniczego kamertonu, charakterystyka tak subtelna i silna przez harmonijne skojarzenie drugorzędnych akcesoryi z typem oblicza, że bądź co bądź mimo pewnej chorobliwej monotonii obrazów Rayznera, wirtuozowi należy się głębokie uznanie. Wiadomo zresztą, że artysta ten umie niekiedy zapominać o złotodajnej manierze i z rodzimych motywów tworzyć arcydzieła. Toż „Salon“ paryzki za taki właśnie uwieńczył go obraz.

W. R.

Jan Stanisławski.

Dla czego między polską publicznością nazwisko artysty-malarza, Jana Stanisławskiego, nie jest dotychczas otoczone należną wziętością?... Wytłomaczyć się to daje obojętnością naszego społeczeństwa względem sztuki, oraz wielką skromnością, czy też wyniosłą dumą artysty, który unika reklamy, unika głośniejszego wyjawiania swych poglądów o malarstwie a nawet w kółku życzliwych i przyjaciół wnika, by go pytano o jego obrazy. Gdy zaś, pomimowoli, ktoś wyjawi pochlebne zdanie o poetycznie pięknych jego krajobrazach, na ruchliwej twarzy artysty pojawia się wyraz ironii lub chłodnej obojętności; jeżeli zaś owo pochlebne zdanie wypowiedziane zostało niezręcznie, twarz Stanisławskiego wyraża znudzenie lub podrażnienie, jakiego się doznaje, posły-

---

z dziewczyną, porzucił ją i t. d., i t. d. Jeden tylko szczegół okazał się niezupełnie dokładnym, mianowicie kwestya dziecka. Tak, dziecię było kaczką, — małą kaczuszką, jeśli wolisz, w każdym razie do tego należało rodu... Ale, ty nie zdajesz się być dzisiaj usposobioną do żartów, moja mała. Teraz widzisz, że nie masz powodu najmniejszego żałować tego, coś zrobiła. Pod każdym względem był list twój zupełnie słusznym, etycznym w najwyższym stopniu, — wszystko czego tylko niewinne twe serduszko żądać może... No, a cóż teraz powiesz?

Wstał i zbliżył się do niej.

— Jeszcze się gniewasz? Ależ dla czego na miłość boską!

Ujął jej rękę.

— Takaś dziwna, cóż się stało właściwie? Engelko, powiedz.

Lecz ona odwróciła głowę, nic nie odpowiedziawszy.

— Puść mnie, Jerzy, chcę odejść!

Przez chwilę milczał zdziwiony.

— Chcesz pójść? nie rozmawialiśmy z sobą jeszcze, Engelko! co ci jest, najdroższa, możeś niezdrowa? — spytał.

Zaprzeczyła głową.

— Chcę odejść już, puść mnie!

Stał długo i patrzał na nią w milczeniu: począł szukać klucza po kieszeniach.

— Nic z tego wszystkiego nie rozumiem! — rzekł cicho — ale to się wyjaśni chyba! — rzekł, usiłując w weselszą uderzyć strunę. — Ale cofasz wyrzeczone przedtem niebaczne słowo?

— Nie! — odparła.

— Nie cofasz?

— Nie cofam!

Tym razem nic nie odpowiedział; poszedłszy do drzwi, otworzył je powoli.

Proszę! — rzekł, wskazując jej wyjście ruchem nieco teatralnym.

Wyszła; poszedł za nią i drzwi na schody jej otworzył.

— Bądź zdrowa! — rzekł, wyciągając do niej rękę.

Przez chwilę zawahała się we drzwiach.

— A pocałunek pożegnalny? — zapytał.

Nagłym ruchem odwróciła się i podniosła twarzyczkę swą bladą, woalką przysłoniętą; usta zacisnęła z uporem, oczy miała przymknięte.

Bergström pochwycił ją w ramiona i uścisnął, lecz zaraz wyrwała się z jego objęć i nie obejrzawszy się nawet, szybko ze schodów zbiegła, potykając się w pospiechu.

— Engelke! — szepnął.

Nie spojrzała w górę. Stał o poręcz oparty tak długo, aż zamilkł odgłos jej kroków w sieni. Poczem wszedł napowrót; w środku pokoju zatrzymał się i patrzał przed siebie.

— Dla czego? dla czego? — pytał siebie wzburzony, — cóż uczyniłem takiego?

Mnóstwo frazesów z romansów przyszło mu teraz na myśl: „Skrwawione, złamane serce pod zimną powłoką“. „Miłość jej w jednej chwili stłumiona“... Lecz cóż to wszystko znaczy.

Niecierpliwie wzruszył ramionami i począł przechadzać się po pokoju.

— To musi być znowu jakiś kaprys, jakaś *idée fixe* u niej! Piątej klepki jej brak, tej małej... Ale ona się chyba opamięta!

— Któż, u licha, może znać kobiety! — rzekł głośno w lekkim tonie, — chyba aktorzy i księża spowiednicy może... A zresztą?... a tak, krawcy! — dodał z uśmiechem.

Lecz to nie uspokoiło go bynajmniej. Postanowił dnia tego jeszcze pójść do niej, by rzecz tę całkowicie wyjaśnić. Po namyśle jednak, a także tajemną wiedziony obawą, której dokładnie wytłomaczyć sobie nie mógł, odłożył odwiedziny te na później. W końcu zadecydował nawet kilka dni się nie pokazywać Engelce. Do tego czasu — sądził — ona się uspokoi i zmieni swe zdanie o nim.

Powołując się bezustannie na czyste swe sumienie, usiłował powrócić do równowagi, lecz to mu się nie udawało zupełnie.

* * *

(Ciąg dalszy nastąpi.)

szawszy nieprzyjemny zgrzyt i rozmowa się urywa, by po chwili przybrać zwrot nowy, ogólny, nic już wspólnego niemający z jego twórczością.

Jan Stanisławski, syn znakomitego tłomacza „Boskiej komedyi“ Danta, jest rodem z guberni kijowskiej i dopiero po ukończeniu wydziału matematycznego na uniwersytecie warszawskim, zabrał się do studyowania sztuki. Obecnie ma lat trzydzieści parę, zamieszkuje przeważnie w Kijowie, lecz od r. 1888 corocznie przybywa do Paryża na kilka miesięcy podczas wiosny, to jest w porze, gdy oprócz dwóch wielkich oficyalnych salonów, mnóstwo jest pomniejszych wystaw sztuk pięknych. Na otwartej w maju wystawie obrazów Claude Moneta można go było spotkać nieledwie że codziennie. Fakt ten dostatecznie objaśnia, jak wysoko on ceni wspaniałe arcydzieła mistrza.

Należąc do grona dawnych i stałych wielbicieli talentu p. Stanisławskiego, zapytujemy go wkrótce po tegorocznem przybyciu do Paryża:

— Co pan malowałeś w tym roku?... Czy dużo obrazów przywiozłeś pan ze sobą?...

Otrzymawszy odpowiedź zbyt lakoniczną i widząc, że rozmowa zwraca się w innym kierunku, przerywamy, mówiąc:

— Wiem, gdzie pańskie siedlisko w Paryżu, więc za tydzień przyjadę zobaczyć obrazy i będę notowała wszystko, co z ust pańskich posłyszę, by ułożyć z tego interview.

— Nawet panu nie pozwalam na pisanie interwiewu o mnie. Nie jestem Józefem Chełmońskim, a tylko tej miary artysta może pozwolić, by zapisywano jego poglądy. Obrazy pokażę panu podług corocznego zwyczaju, ale nie chcę być interwiowany, bo byłoby to wprost śmieszne!

Tak więc niewolno mi mówić o treści naszej rozmowy, jakkolwiek rozmawialiśmy nieco o salonach, o wystawie obrazów Claude Monetą a nawet o zeszłorocznej wystawie we Lwowie.

Przyjeżdżając do Paryża, p. Stanisławski zwykle zamieszkuje w pobliżu ogrodu Luksemburskiego, w hotelu starym i brudnym przy ulicy Monsieur-le-Prince, „bo mu przypomina oberże, opisywane w powieściach Balzaca“.

Przybywszy tam w dniu oznaczonym i siadłszy na słomą wyplatanym stołku, w pobliżu okna, o północnem a więc właściwem oświetleniu, mieliśmy sposobność, z łaski artysty, obejrzeć co najmniej setkę jego obrazów i szkiców olejnych. Żaden z nich nie przenosi metra kwadratowego powierzchni a większość posiada zaledwie kilkadziesiąt centymetrów kwadratowych. Maleńkie są one rozmiarami, lecz wielkie tchnącem od nich pięknem. Obrazy te, nieoprawne, przeważnie malowane na drewnianych deszczułkach, przesuwały się teraz jedne za drugiemi, stawiane kolejno na stołku, podsuniętym pod jakąś hotelową firankę, o spłowiałej, czerwonej barwie. Lecz niestosowna z pięknością obrazów szpetota stancyi „balzakowskiego“ hotelu naraz znikła, oczy bowiem i uwaga pochwycone zostały czarem, promieniejącym z każdego z pokazywanych nam krajobrazów. Wśród nich jeden tylko napotkaliśmy szkic, przedstawiający izbę folwarczną, w pośrodku której zasiadła gromadka kobiet różnego wieku, drąc pierze w naczynia, rozstawione na stole. W tym szkicu, jak wogóle we wszystkiem, co maluje Stanisławski, ujawnia się ta sama dążność i to samo poszukiwanie, co u Claude Moneta — to jest synteza rzeczy, z pominięciem drobiazgowego wykończenia szczegółów, uwydatniających się w miarę wpatrzenia się w obraz, którego zadaniem jest pochwycenie gry światła, powietrza.

Patrząc na tę ogromną ilość krajobrazów, włoskich, francuzkich i lokalnie paryzkich, niewiadomo, co więcej podziwiać, czy pochwyconą dal nieba i ziemi, czy realistyczność kolorytu, czy pysznie rozłożone światło, wykazujące dokładnie porę roku i dnia, czy też poetyczność natchnienia artysty? Bo Stanisławski jest, bez zaprzeczenia, wielkim poetą, umiejącym swemi obrazami mówić i porywać!...

W ostatnich dniach nadeszła z Berlina wiadomość, iż obrazy p. St., znajdujące się na tamtejszej wystawie, zostały obadwa zakupione przez posła Kościelskiego. Być może, iż fakt zakupienia obrazów przez człowieka o głośnem nazwisku przyczyni się do przyśpieszenia właściwego ocenienia talentu p. Stanisławskiego, który dotychczas więcej jest znany i ceniony przez cudzoziemców, aniżeli przez nasze, polskie społeczeństwo, zbyt mało obeznane ze sztuką a skutkiem tego zbyt mało śledzące za jej rozwojem.

P. T.

Bohaterowie a poeci.

(Dokończenie.)

Niewątpliwie sztuka służy ogólnym celom ludzkości, - jeżeli jej służy, co niezawsze bywa, — a częstokroć jednak oddaje bez porównania większe usługi swoim kapłanom. Wspominaliśmy już wyżej, że twórczość artystyczna wyzwala przedewszystkiem samych twórców z więzów krępujących ich ducha: pozwala mu się harmonijnie rozwijać i sprawiać niezbędne dla jego życia widowisko własnej siły i wielkości. Jak tu więc nie przywiązać się wszystkiemi siłami do czegoś, co istnieniu naszemu sprzyja więcej, niż cokolwiekbądź, — jak nie poświęcić temu wszystkich innych celów i widoków ziemskich? Gdybyśmy jakiemu Murillo lub Rafaelowi odebrali możność urzeczywistniania ich ideałów artystycznych, dając im w zamian jak najwygodniejszy byt i najwyższe położenie społeczne, tobyśmy ich unieszczęśliwili. Każdy z nich wolałby malować swe prześliczne Madonny, żyjąc w nędzy, niż opływać we wszelkie dobra ziemskie i nie módz tego czynić. Wszyscy im podobni gotowi wyrzec się wszystkiego, byleby módz tylko naczelnej potrzebie ich istoty zadośćuczynić. W takich warunkach bohaterstwo przestaje być czemś wyjątkowem i staje się zjawiskiem pospolitem. Wszelkie inne zawody i powołania mniej szczytne, bardziej przymusowe i nie dające dużo zadowolenia wewnętrznego, mogą nam dostarczyć mnóztwo przykładów podobnegoż bohaterstwa, codziennie, bez blasków olśpiających praktykowanego.

Kto sztukę swą uważa za coś stojącego wyżej ponad wszelką rzeczywistość,*) ten może dla niej poświęcić c a ł ą r z e c z y w i s t o ś ć, nie doznając przytem zbytniej przykrości.

* * *

Rozpatrzmy z kolei drugą stronę sprawy; wpływ bohaterów i poetów na ludzi, — skutki ich odnośnych działalności. Trudną jest wogóle rzeczą śledzenie wpływów idei jakiejś na masę ludzką. Wygłoszona idea może nie pociągnąć za sobą żadnych natychmiastowych skutków; wówczas skłonni jesteśmy odmówić jej wszelkiej wartości, tak jak we wszystkich wypadkach, gdzie danej przyczynie nie odpowiada widzialny skutek. Tymczasem idea może się rozwijać w sposób niedostępny ludzkiemu spostrzeganiu, może robić postępy nie manifestujące się przez długi czas żadnemi widomemi znakami, — w końcu wybuchnąć w miejscu.

*) Znanemi są usposobienia wszelkich artystów widzących w utworach własnego umysłu najistotniejszą rzeczywistość. Balsac, dla którego postacie jego utworów były czemś ważniejszem od osób żywych (znana rozmowa z Sandeau), jest dobrym przykładem podobnych nastrojów twórczych.

G. D'ANNUNZIO.

BOHATER.

Tłomaczył **I. Zan.**

Wielkie sztandary świętego Gonzalwa już wyniesione na plac, chwiały się w powietrzu, podtrzymywane dłońmi ludzi o kształtach Herkulesa, o cerze śniadej, z szyjami jak gdyby nabrzmiałemi od nadmiaru sił. Dźwiganie było dla nich igraszką. Od czasu zwycięztwa nad Raduzyńczykami mieszkańcy wsi Madalico obchodzili święto wrześniowe z jeszcze większą wspaniałością. Dusze gorzały cudownym ogniem pobożności. Cały kraj składał potworowi hołdy dziękczynne z obfitości ostatnich zbiorów. Kobiety powywieszały z okien swe wyprawne kołdry, mężczyźni umaili girlandami drzwi domostw, kwieciem osypali progi. Silny wiatr dmący od morza wyprawiał na ulicach harce, kołysania i falowania, które zachwycały i upajały tłumy...

Procesya wypływała powoli z kruchty kościelnej i wydłużała się coraz bardziej, sunąc po placu. Przed ołtarzem św. Pantaleona stanęło ośmiu mężczyzn uprzywilejowanych, oczekując chwili zdjęcia figury św. Gonzalwa.

Imiona ich były: Giovanni Curo, Ummalido, Mattala, Vinzenzio Guanno, Rocco di Cenzo, Benedetto Galante, Biago di Clisei, Giovanni Senza-Paura.

Stali wyprostowani, milczący, zakłopotani uroczystą powagą swej czynności, odczuwając silny zamęt myśli w mózgownicach. Byli to ludzie nadzwyczaj krzepcy i barczyści; w oczach gorzał im płomień fanatymu. Nosili w uszach złote kółka, jak kobiety. Od czasu do czasu obmacywali przeguby swych rąk i mięśnie przedramienia, — jak gdyby dla wypróbowania ich wytrwałości, albo ukradkiem rzucali sobie uśmiechy.

Statua patrona odlana z bronzu czarniawego, z głową i rękami srebrnemi, była olbrzymich rozmiarów i nadzwyczajnej ciężkości.

Mattala rzekł:

— Wszyscyście gotowi?

Dokoła nich wypierano się łokciami, by módz patrzeć.

Szkła w oknach kościoła dźwięczały za każdym podmuchem wiatru. Nawa napełniała się dymem kadzideł i wonnych żywic. Dźwięki muzyki dawały się na chwilę słyszeć i głuchły znowu. W tym pobożnym zamęcie rodzaj ślepej egzaltacyi rodził się i rósł w sercach tych ośmiu ludzi.

Mattala rzekł:

— Raz!... Dwa!... Trzy!...

I połączyli swe wysiłki, by zdjąć z ołtarza figurę świętego, lecz olbrzymi ciężar przewyższał nieomal ich siły i statua chwiejąc się i chybocząc o mało nie wywróciła się na lewo. Nie potrafili jeszcze dość mocno otoczyć rękami podstawy.

Podpierali ją, starajac się sami mocniej oprzeć... Lecz Biago di Clisei i Giosani Curo, mniej zręczni, zaczęli się cofać i statua pochyliła się gwałtownie w ich stronę.

Ummalido krzyknął:

— Ostrożnie! ostrożnie! syczał koło nich tłum, na widok świętego w niebezpieczeństwie.

Hałas dolatujący z placu nie dozwalał rozróżnić głosów. Ummalido upadł na kolana, z prawą ręką przygniecioną przez bronz. W położeniu tem, nie mogąc się podnieść, utkwił oczy w rękę swą uwięzioną, — oczy wytrzeszczone pełne bólu i przerażenia, lecz nie krzyczał już więcej. Krew obryzgała ołtarz.

Poraz wtóry towarzysze jego usiłowali podnieść druzgoczącą masę. Nie było to rzeczą łatwą. W umęczeniu tortury Ummalido wykrzywiał usta, — kobiety drżały na ten widok.

Nareszcie udało im się podnieść statuę i Umalido mógł wyciągnąć swą rękę zgruchotaną, krwawiącą się, bezkształtną.

— Idź do domu, idź do domu... — krzyczano ze wszech stron, pchając go ku drzwiom kościoła.

Jakaś kobieta zdjęła fartuch i podała mu, by go użył jako bandaż. Ummalido odmówił. Nie mówił nic; patrzał na gromadkę ludzi gestykulujących i kłócących się przed statuą.

— Teraz moja kolej!

— Nie, moja!

— Ależ nie, to ja!

Cicco Pono, Mattia Scaffarola i Tomaso di

w którem jak najmniej spodziewaliśmy się jej działania. W ten sposób łatwo można zatracić i upuścić z widoku przyczynowy związek między ideą a jej skutkiem; można ogłosić bezpłodność idei, gdyż działania jej nie widziało się co chwila własnemi oczyma, a tysiączne rozgałęzienia, na jakie się rozpadła, nie pozwalają każdemu znaleść do nich wspólnego źródła prądów umysłowych, zasad, idei etc. Czyż jednak mamy odmówić skuteczności działania odwiecznym siłom przyrody na tej jedynie zasadzie, żeśmy działania tego nigdy nie oglądali? Tak więc samo i idee, których skutków nie oglądamy natychmiast, nie możemy skazywać na bezpłodność, nie znamy bowiem tych wszystkich, na kogo one oddziałały, nie jesteśmy świadomi tych wszelkich przeobrażeń, jakie za ich sprawą zostały w sercach ludzkich dokonane, nie wiemy, jak może zdeterminować tych, a jak owych, i co z masy drobnych zmian i oddziaływań może ostatecznie wyniknąć.

W walce więc idei, w ścieraniu się rozmaitych interesów i dążności ludzkich, pieśni poetów, tym hasłom, jakie wydzwaniała oraz ideom, jakie głosiła, niepodobna odmówić znaczenia i wpływu nawet wtedy, kiedy ani jedno ani drugie nie rzuca się w oczy. Nie potrzebujemy tu przypominać znanych ogólnie faktów: budzenia się ducha ludzkiego pod wpływem pieśni, zwiększania się świadomości narodowej dzięki jej współdziałaniu, a nawet jednostkowych czynów bohaterskich, dokonanych w jej imieniu niejako etc. Wielcy poeci wszelkich krajów i epok dziejowych byli zarazem i wielkimi pionierami historyi narodów swoich, przywódzcami duchowymi ich walk i dążeń. Trzeba jednakże zauważyć, że najczęściej społeczeństwa grupowały się dokoła nich nie dla tego, iż słowo ich było zapoczątkowaniem jakiegoś działania, główną jego pobudką; działo się to dla tego, że naród o d n a j d y w a ł s a m e g o s i e b i e w tem słowie, że w y r a ż a ł o ono silnie i podniośle, j e g o w ł a s n e d z i a ł a n i e, dla którego nieraz szukał potwierdzenia.

Wpływ przeto poetów nie był bodźcem p i e r w i a s t k o w y m, lecz d o d a t k o w y m, nie tyle budził chęci i pragnienia, ile potęgował, wyrażając je i uświadamiając innym. Działanie poetów na otoczenie jest w większości wypadków p o ś r e d n i e, tymczasem gdy oddziaływanie bohaterów jest b e z p o ś r e d n i e i służy za punkt wyjścia. Weźmy n. p. dopływ pieśni Rouget de l'Isle'a na Francuzów schyłku zeszłego stulecia, gdyż ona wiele natychmiastowych działań za sobą pociągnęła. Wszak działała ona na uczucie już wytworzone, które działało przed jej przyjściem.; ona co najwyżej nadawać mogła każdorazowemu objawianiu się uczucia tego pełniejszy i jaśniejszy wyraz. Pieśń ta zrodzona była naprzód pewnem działaniem, a później sama działać zaczęła. To samo możemy powiedzieć o innych podobnych pieśniach i wogóle wypowiedzianych s ł o w a c h. Tak samo działały na ochotników niemieckich z 1813 r. i następnych lat piosnki T. Körner'a i podobnych piewców owych czasów: podobnież dramaty Alfieri'ego na Włochów etc. etc. Trzeba słowem dla pieśni warunków wyjątkowo sprzyjających, żeby mogła działać skutecznie na ludzi i wywoływać wypadki donioślejsze: trzeba momentów rzadkich i gruntu odpowiednio przygotowanego, by ludzie przejmowali się słowami pieśni i wcielali je w żywe kształty. W przeciwnym wypadku będą one spoczywały w wielkich składach wytworów myśli ludzkiej jako towar bezużyteczny, zleżały, martwy. Zależy to również i od natury słów wypowiadanych przez poetów. Dla dokonywania prawdziwie wielkich czynów, mogących cokolwiek zaważyć na szali dziejów, niezbędnem jest współdziałanie mas; język poetów niezawsze dla nich jest zrozumiałym. Poeci za wiele wyrażają w ł a s n y c h, s p e c y a l n y c h p o t r z e b, lubują się w malowaniu takich stanów ducha, jakie odczuwać i zrozumieć mogą tylko wyjątkowe umysły i wyborowe serca; ztąd nieraz cała ich wielkość pochodzi. Tymczasem dla mas trzeba słów zrozumiałych ogólnie, myśli p r z e c i ę t n y c h, lecz takich, co są wyrazem zasadniczych podstaw ich bytu i z powszedniemi jego położeniami są najściślej związane. Myśli podobne głównie od bohaterów wychodzą, dla tego tak magicznie działają na masy. Trzeba streścić usposobienie, tkwiące w sercach wielkiej liczby ludzi, trzeba pragnieniom ludzkim, rozproszonym wśród ogółu, dać wyraz zwięzły, ażeby módz pociągnąć go za sobą i do czynów nieśmiertelnych zagrzać. Subtelne tkanki myśli, głębokie słowa, mówiące o eterycznych nastrojach ducha, nic tu nie zrobią. Magicznie działały słowa Chrystusa, Mahometa, Kalwina i t. p. wszystkich wielkich reformatorów i przywódzców ludu, gdyż odpowiadały potrzebom ogólnie odczuwanym i wyrażały myśl dostępną prostaczkom, szukającą oddawna najwłaściwszego wyrazu.

Smutniejszemi są wogóle losy i wszelkich szczytnych wytworów ducha, a wielcy „odkrywcy" i „wynalazcy" w dziedzinie tej do najbardziej godnych pożałowania mogą być zaliczeni. Nie widzą oni naprzód najczęściej zastosowania w życiu swych wielkich pomysłów, nie oglądają owoców własnych usiłowań; najlichsza sztuczka patentowana, najskromniejszy wynalazek techniczny, grosz kosztujący guzik modny lub coś podobnego, wnet zostaną zużytkowane przez ogół i znajdą swe natychmiastowe zastosowanie do celów życia. Proszę się przypatrzeć natomiast losom wielkich idei, szczytnym kombinacyom myślowym. Niechby większość z pośród nich przepadała marnie i kurzem wieków, jak sprzęt bezużyteczny, pokrywała się: to jeszcze nie tak byłoby smutnem! Gorszem o wiele jest to, że idee te wcielane w życie, przybierające kształty widzialne, są tak haniebnie wykoszlawiane, że autorowie ich odwróciliby się od wcieleń tych ze wstrętem, gdyby się z niemi spotkali oko w oko. Dowodów na to długo szukać nie trzeba. Wzniosłe myśli i „odkrycia" w sferze ducha takich ludzi, jak Lessing, Herder, Schiller, Fichte i t. p... obudziły nowe życie wśród upośledzonego podówczas duchowo narodu niemieckiego, wytworzyły w jego łonie mnóztwo szczytnych chęci i pragnień. Cóż jednak stało się z niemi, gdy ich wcielaniem w kształty zbiorowego życia zajęli się naprzód tacy ludzie, jak baron Stein, a później tacy, jak Bismarck i t. p.? Śladu ich pierwiastkowej „boskości" niktby się teraz nie doszukał, nikt nie domyślałby się źródła, z którego pochodzą. A z ideami ludzi ze schyłku ubiegłego wieku co się stało, gdy przeszły przez laboratoryum napoleońskie, albo z temi, jakich tyle wszędzie wygłosił rok 48, gdy wcieliły się w formy ostatniego cesarstwa, lub przybrały postawę teraźniejszego nacyonalnego liberała pruskiego, niegdyś rzecznika deputowanych sejmu frankfurtskiego? Przegląd tego rodzaju dziejów „idei" wiele podobnych potworności by nam odsłonił.

Z ideami pochodzącemi od poetów dzieje się jeszcze gorzej. Wszyscy je wielbią, wynoszą pod niebiosa, zachwycają się, — deklamują w tysiącznych odmianach i.... tylko! Taki już stosunek wytworzył się między ogółem a poetami, — to, co od nich pochodzi nie zobowięzuje nikogo. Dość jest unosić się nad tem i podziwiać, to już wiele znaczy. Poezya właśnie dla tego taki urok na ludzi wywiera, że wielbiący ją nie widzą w niej surowego cenzora, któryby ich zmuszał do stosowania w życiu zasad podziwianych. To tak wygodnie obcować z wzniosłemi rzeczami, przenosić się przy pomocy cudzych myśli w krainy piękna ducho-

---

Clisci spierali się o zastępstwo Ummallida w czynności ósmego nosiciela.

Ummalido zbliżył się do kłócących się. Zgruchotana ręka zwiesiła mu się wzdłuż bioder — a drugą torował sobie drogę. Głosem spokojnym powiedział:

— Miejsce do mnie należy!

I podstawił lewe ramie, by podtrzymywać patrona parafii. Zaciskał zęby, starając się zdusić swój ból dzikim wysiłkiem woli.

Mattala zapytał go:

— Co chcesz robić?

— Co się będzie podobać św. Gonzalwowi.

I puścił się w pochód w szeregu z drugimi.

Gdy przechodził, tłum przyglądał mu się zdumiony. Widząc czerniejącą już ranę, z której krew ciekła kroplami, ludzie co chwila pytali:

— Co ci jest, Ummalido?

Nie odpowiadał. Szedł przed siebie poważnie, krokiem miarowym, w takt muzyki z pewnym zamętem w myślach, pod szelestem szerokich pikowanych kołder, bujających w wichrze, w tłumie, który coraz bardziej zbijał się i zgęszczał.

Nagle upadł w którymś zaułków. Święty zatrzymał się na chwilę, chwiał się przez pewien czas śród popychania i szturchania, wreszcie popłynął dalej. Mattia Scaffarola zajął opróżnione miejsce.

Dwaj krewni podźwignęli zemdlonego i zanieśli go do sąsiedniego domu.

Anna de Cenzo, staruszka doświadczona w opatrywaniu ran, obejrzawszy bezkształtną i zakrwawioną kończynę, pokręciła głową.

— Ja tu nic nie pomogę, powiedziała.

Na wypadek tej miary sztuka jej nie miała już żadnych środków.

Ummalido, który już powrócił do przytomności, nie otwierał ust. Siedząc spoglądał spokojnie na swoją ranę. Ręka jego zwisała, z połamanemi kośćmi, — stracona na zawsze.

Dwoje czy troje wieśniaków przyszło odwiedzić chorego. Każdy z nich wyrażał słowami lub ruchem tę samą myśl:

Ummalido spytał:

— Kto niósł świętego?

Odpowiedzieli mu:

— Mattia Scoffarola.

Spytał jeszcze:

— A teraz co robią?

Odprawiają nieszpory z muzyką.

Wieśniacy pożegnali się z nim i poszli na nieszpory. Bicie dzwonów dolatywało z kościoła parafialnego. Jeden z krewnych postawił wiadro zimnej wody obok rannego i rzekł:

— Maczaj w niem rękę. Wrócimy niedługo. Pójdziemy na nieszpory.

Ummalido został sam. Głos dzwonów stawał się coraz donośniejszy. Światło dnia zaczynało gasnąć, drzewo oliwne, szarpane wichrem, uderzało konarami o nizkie okna.

Ummalido, zawsze siedzący, maczał swą rękę w wodzie. W miarę jak skrzepła krew tając spływała z rany, zniszczenie okazywało się jeszcze straszniejszem.

Ummalido myślał:

— Wszystko daremne. Ręka jest stracona. Święty Gonzalwie, Tobie ją ofiaruję.

Po chwili wziąwszy nóż, wyszedł z domu. Ulice były puste. Wszyscy pobożni poszli do kościoła. Ponad dachami płynęły fioletowe obłoki wrześniowych półmroków, — obłoki o twarzach zwierząt.

W kościele tłum śpiewał w ścisku, chórem zawodząc w regularnych odstępach czasu. Wrzące ciepło parowało z nagromadzonych ciał ludzkich i z płomieni świec. Srebrna głowa świętego Gonzalwa świeciła w powietrzu jak latarnia morska...

Ummalido wszedł. Przesuwając się śród ogólnego zdziwienia udał się do ołtarza i trzymając nóż w lewej ręce, wyrzekł głosem donośnym:

— Święty Gonzalwie, Tobie ją ofiaruję.

I powoli jął przerzynać ściągna około przeguba prawej ręki, — w oczach ludu drżącego z przerażenia.

Bezkształtna ręka odrywała się coraz bardziej, oblewając się potokami krwi. Przez chwilę wisiała jeszcze zawieszona na paru włóknach mięśni, potem spadła na miedzianą tacę, postawioną u stóp patrona celem zbierania ofiar pieniężnych.

Wtedy Ummalido wzniósł do góry swe straszne okaleczone ramię i powtórzył raz jeszcze dobitnym głosem:

— Święty Gonzalwie, Tobie ją ofiaruję.

wego, ocierać się o szczytność, wielkość, niepospolitość itp. — a jednocześnie czuć, że to się wszystko za darmo dostaje, nie stawia woli trudnych do urzeczywistnienia zadań, nie ćwiczy skóry zmuszając do wysiłków. Wszak po każdem otarciu się o rzeczy wzniosłe i wielkie, już przez samo z niemi obcowanie, wychodzi się lepszym i odrodzonym, pocóż więc myśleć o ich urzeczywistnianiu? Tak mniema większość i rozkoszuje się utworami poetów, jako czemś bardzo miłem i nieobciążającem życia dokuczliwemi zobowiązaniami. Pocóż zresztą myśleć o nich, kiedy ogół wie dobrze, że poeci, przemawiając podniośle, nie zawsze mają poważne intencye, że oni niekiedy „żartują“, mają swoje „kaprysy“ i „fantazye“ jako ludzie niezwykłej ulepieni gliny? Oni to tak sobie powiedzieli — mniema ogół — dla tego, że to ładne, pociągające i może się podobać. Powiada także ogół, że szczytne myśli i pragnienia, głoszone przez poetów, mogą tylko obowiązywać, do kierowania się niemi w życiu, ludzi wyjątkowych, a nie zwyczajnych śmiertelników. To takie wzniosłe i niedościgłe, powiada niejeden, że samo patrzenie sprawia zawrót głowy, cóż dopiero wywołałoby urzeczywistnianie? Gdzież nam biednym robakom marzyć o czemś podobnem: to nie dla nas! — niech każdy świerszcz siedzi w swojej dziurze! bylebyśmy bez większego grzechu potrafili pełzać po ziemi, co tam myśleć o wznoszeniu się na szczyty; niech się inni tem zajmują. Oto są apostrofy ogółu wobec szczytności poetów! — tak większość zapatruje się na ich podniebne wzloty!... I ma nieraz słuszność. Niemało jest i takich, których pociąga strona deklamacyjna poetyckich rojeń: ci są „nie od tego“, by w odpowiedniej chwili powołać się z emfazą i rozdarciem szat, na ten lub inny „wspaniały“ ustęp poetycki, by nim zakląć na wieki to lub owo, rozrzewnić nim samego siebie i innych, udzielić im „bozkiego ognia“ i „świętego zapału“. Ale to całe deklamujące szubrawstwo, wie o tem najlepiej, z własnego doświadczenia, że na tem tylko można poprzestać i że „wspaniałe“ kawałki niebezpieczeństwa żadnego nie przedstawiają. Jedni podziwiają tylko poetów, drudzy używają ich jako znakomitych pirotechników, inni znowu — i to są najliczniejsi — powiadają: że poezya, panie dobrodzieju, może się przydać na coś w zmroku, zwłaszcza i przy kominku, kiedy człek, trawiąc spokojnie, skłonnym bywa do niezwykłych marzeń, — nie wiele jednak warta w ciężkich zapasach o chleb. Są następnie i tacy, co szukają w niej pokrzepienia moralnego i oderwania się od powszednich warunków istnienia; najmniej liczni są jednak ci, coby się nią przejmowali jako czemś takiem, co jest prawem i regulatorem ich życia.

Rozejrzyjmy się dokoła nas samych: oczom naszym przedstanie widok w istocie „wspaniały“. Czy mało n. p. osób, z najbliższego otoczenia choćby współczesnego poety, unosiło się nad takim n. p. ustępem „szczytnym“ jego utworu, jak ten:

„Lepiej być stokroć oplwanym przed śmiercią, niż okupywać życie plwaniem na tych, co za nas giną“. (Przez sławnego niegdyś „Lasika“.)

A czy wiele tych osób — nie wyłączając samego autora — uniesieniu swemu, wywołanemu przytoczonym ustępem, dawało w życiu zgodny z niem wyraz? Nie trzeba nawet odpowiadać na to.... Niema, zdaje się, wśród nas człowieka inteligentnego, któryby nie wskazywał na dzieła trzech niegasnących gwiazd naszego Parnasu, jako na źródło podniosłych myśli, szlachetnych pragnień i ewangielickich niemal przepisów. Wszyscy kierownicy naszego sumienia zbiorowego, od p. L. Straszewicza dajmy na to, aż do p. St. Koźmiana (bierzemy mniej więcej ludzi jednej kategoryi) ukamienowaliby z namaszczeniem każdego, ktoby był przeciwnego zdania. A proszę zaproponować tym panom mniej platoniczne przejęcie się tem, co wyrażał Mickiewicz, choćby w „Trybunie Ludów“ — zobaczylibyśmy wtedy, jak wyciągnęłyby się oblicza tych szanownych panów! — Ten i ów u nas będzie n. p. z pietyzmem niedościgłym. zbierać wszelkie drobne szczegóły i szczególiki dotyczące życia J. Słowackiego — przypuśćmy — będzie zachwycał się subtelnością jego uczuć i podniosłością pragnień i gotów oczy wydrapać temu, ktoby śmiał sceptyczniej na to się zapatrywać; niechby jednak poczuł w sobie podobny nastrój w jakim był wielki poeta, pisząc swą odpowiedź „Autorowi trzech psalmów“ lub coś podobnego, — a zdziwiłby się sam, zkąd mu to się wzięło, co za niełaska niebios nań spadła, i... przeląkłby się podobnych nawiedzeń! A cóżby się stało z niewzruszoną lojalnością hr. St. Tarnowskiego, wielbiącego Z. Krasińskiego, gdyby go tak na seryo wzięły w obroty rozmaite „przedświty“ i t. p. pienia? Nic się nie dzieje z hr. Tarnowskim, przesiąkniętym myślami Zygmunta, jak nic z większością tych, co u nas niby to wciąż czerpią natchnienie z dzieł nieśmiertelnych naszych pieweów! — po co tu gromadzić dowody? — najwięksi i najpotężniejsi pieśniarze nie działają, cóż więc wymagać od pomniejszych?!...

Dawniejsi byli prawdziwymi mocarzami ducha, orłami unoszącymi ludzi wysoko, na swych skrzydłach potężnych; gdy zaintonowali pieśń jaką, to nie jednemu, w istocie, mogłoby się wydać, że od jej dźwięków runą i rozpadną się w gruzy mury jakiegoś Jerycho. Teraźniejsi nawet złudzenia czegoś podobnego wywołać nie mogą. Wdzięczni, gdy opowiadają nam o smutnych losach „dwóch listków“, co chociaż płyną w jednym prądzie nigdy jednak się nie spotkają i mówią nam o tem, że „serce jest jak kwiat, a szczęście jak motylek“ i t. p.; niezrównani w wyrażaniu wszelkich tęsknot ducha i zwątpień myśli, potężni nawet, gdy przeklinają trapiące ich nędze, — po za cierpiące na hypertrofię indywidualności własne, po za ich potrzeby i cele rzadko przechodzą. Zaczną nieraz w młodszym wieku od szumnych wykrzykników i wybuchów obiecujących i kończą najczęściej na szczerych wyznaniach, że:
„Jedno mam tylko pragnienie — rozkoszy“; na wylewaniu „nadmiaru wstrętu do życia codziennej podłości“, o której zmniejszeniu wcale nie myślą; na — nieśmiertelnym komunale o nicości ludzkiego istnienia etc. etc..

Takiemi są dzisiejsi „królowie ducha“ — pieśniarze — bohaterowie! Ani więc ich witać z zapałem i rozradowaniem takiem, jak się wita prawdziwych odnowicieli życia ludzkiego, ani upodabniać bohaterom, niema najmniejszego powodu. Raczej — patrząc z jednej strony na to, jak słaby oddźwięk znajduje pieśń poety wśród ludzi, z drugiej na własne jego słabostki, upadki i głos przytłumiony, chce mu się poradzić, by „cisnął w Letę swój bardon głuchy“, by go strzaskał i śpiewać się oduczył!...

Lecz przyjdzie godzina.... Bohaterowie zgotują ją poecie; wtedy on godzinę tę wyśpiewa, unieśmiertelni jej sprawców i siebie samego. To główne jego zadanie!

Władysław Jabłonowski.

Z literatury czeskiej.

(Masaryk: „Czeska otazka“ i „Nasz kryzys“.)

Niedawno w „Przeglądzie Poznańskim“ p. Leon Wasilewski umieścił artykuł p. t. „Stosunki partyjne Czech“, w którym między innemi mówi o realistach i ich przywódzcy *prof. Masaryku.*

Złożywszy w roku 1893 mandat poselski, prof. M. oddał się pracy literackiej i oddziaływaniu żywem słowem z katedry uniwersyteckiej na młodzież, z której chciałby ukształcić sforny i rozumny szereg oddanych sprawie społecznej jednostek, i w taki sposób stworzyć niejako dla siebie spzymierzeńców.

W tym też może celu M. wydał w tym roku dwie książki „Czeska otazka“ i „Nasz kryzys“, w których wytyka rodakom wady i wskazuje kierunek postępowania, wyznaczony już niemal Czechom przez wielkich ojców ich odrodzenia.

Prof. M. poczyna od doby odrodzenia, od prac Dobrowskiego, dowodząc cytatami, że podstawą poglądów wskrzesicieli żywota czeskiego była humanitarność i oświata.

Od humanitarności Dobrowskeho, od humanitarności a słowiaństwa Kollara i Szafarzyka, Czesi dzięki Palackemu i Hawliczkowi doszli do siebie, do czeskości. „Jestem Czech, a nie Słowianin“ rzekł dobitnie Hawliczek.

Dobrowsky, a dalej Kollar i Szafarzyk mieli program narodowościowy, wyłącznie kulturalny; Palacky pierwszy przyłącza doń program polityczny — ideę federacyjnego państwa rakuskiego, stawiając ją przeciw pangermanizmowi i panrusyzmowi (chociaż co prawda później w r. 1872 Palacky był gotów na połączenie, choć nie na zlanie się z Rosyą). Z chwilą powstania programu politycznego, szlachta czeska poczęła nabierać znaczenia, boć w jej to najwięcej rękach była niegdyś moc polityczna. Ale szlachta, głosząc przez usta wielu przedstawicieli, jak np. hr. Thuna: „Ich bin weder ein Czeche, noch ein Deutscher, sondern ein Böhme“ i chcąc stanąć ponad Niemcami i Czechami — być niejako między nimi pośrednikiem — nie znalazła poparcia śród ludu, przeciwnie — jego niechęć.

Kiedy nastąpiła reakcya bachowska, szlachta i wielu wybitnych patryotów (sam Palacky) przycichło. Z placu nie ustąpił tylko Hawliczek, będący również, jak Palacky, za federacyą narodów państwa austryackiego. Ale Hawliczek był zarazem więcej postępowy. ludowy, demokratyczny (wówczas gdy Palacky powoli zbliżył się do arystokracyi, skonserwatywniał) socyalny (Hawliczek jest n. p. za powszechnem prawem wyborczem, Palacky — przeciw) a mniej hołdujący historyzmowi, badający wprawdzie przeszłość, ale nie zapominający i o teraźniejszości (co jest dewizą i samego Masaryka). Hawliczek najwięcej zbliża się do pojęć nowszych.

Z tem wszystkiem Hawliczek pracował wespół z Palackym, jeno o wiele radykalniej, rzekłem już, ludowiej. Ludowość bowiem, aczkolwiek jeszcze pojmowana więcej politycznie niż socyalnie, była głównym punktem jego polityki.

Palacky i Hawliczek uważani są. pierwszy za nauczyciela Staro-, drugi Młodoczechów, chociaż, jak mówi prof. M. „ojcowie nie cieszyliby się z dalszego rozwoju swych duchowych dzieci“.

Oświata, moralność i usilna praca wewnętrzna oto hasła Palackiego i Hawliczka w dążeniu Czechów do wybicia się zupełnego. Dzieci zapomniały o treści haseł, zatrzymując dla siebie jedynie nazwę stronnictw staro- i młodoczeskiego.

W dalszym ciągu prof. M. przedstawia różne teraźniejsze stronnictwa i ich stosunek względem siebie, (o czem jednakże niedawno wspominał już p. Leon Wasilewski) przedstawia niejako ostatnią dobę odrodzenia, ciągnącą się od lat osiemdziesięciu do dziś. Doba ta charakteryzuje się, mówi M., zagajeniem polityki czynnej we Wiedniu i dokończeniem rozwoju organizacyi wyższych zakładów naukowych czeskich (uniwersytetu). W czasie tym począł się spór o prawdziwość rękopisów Królodworskiego i Zielonodworskiego, spór nauki z płytką żurnalistyką. Powoli z tego sporu ukształcił się nowy kierunek krytyczny i naukowy, zwany realizmem. Realizm stał się nie tyle stronnictwem, ile kierunkiem, metodą.

Pod jego wpływem pojawiły się inne kierunki, mniej lub więcej postępowe i radykalne, powstała, można powiedzieć, rewolucya literacka, bój krytyczny o bezkrytycznie wyniesione autorytety (np. Vrchlicky), bój przeciw zaśniedziałości starszych. Młodsi idą ciągle naprzód, zdobywając dla siebie coraz więcej gruntu.

Dalej, prof. M. wyjaśnia, że rusofilizm czeski jest szkodliwy i na niczem nieoparty. Ani na rozumieniu Rosyi — Czesi zbyt mało ją znają, ani nawet na pojęciach wskrzesicieli narodu czeskiego, którzy jak np. Hawliczek mówili po prostu: „Jestem Czech, a nie Słowianin“. Wprawdzie w szeregu ich uczonych byli i rusofilowie (choć znów nie zbyt dużo), ale 1) na początku XIX stulecia ogólnie pokładano wielkie nadzieje w Rosyi, wierzono w blizkie przyjście

Mesyjasza Słowiańsiwa; 2) słaby po wiekowym letargu ledwie poczynający pełzać naród czeski mimowoli, kierując się niejako instynktem samozachowawczym, poglądał ku bratniemu państwu, ku Rosyi, której zazdrościł silnych bar niedźwiedzich. Dziś zaś, kiedy Czesi uczuli już swą moc, powinni zwrócić uwagę na siłę więcej moralną i umysłową, niż fizyczną. Bo zresztą dziś, mówi prof. M., Rosya nawet nas nie weźmie, ona nie dba o 6—10 mil. katolików, którzy prawdopodobnie połączyliby się z Polakami, jak to czynią emigranci czescy na Wołyniu. A jeśli weźmie, to zgodnie z słowami prof. Łamańskiego przekształci Czechy na gubernie rosyjskie.

Niemcom też nie zależy na austryackich katolikach, bo wtedy byłoby ich w Niemczech więcej niż protestantów.

A więc Czesi powinni trzymać się Austryi i w jej obrębie dbać o swój rozwój. Chociaż bowiem brak nam wiele, mówi M., jednak na gruncie parlamentarnym możemy się dobijać pokojowo, ale bez przerwy, systematycznie, krok za krokiem, zbywających nam jeszcze praw. Z tem wszystkiem nie powinniśmy zapominać o ogólnej pracy narodowej, nie powinniśmy oddawać się zbytnio samej tylko polityce, bo ona jest jeno cząstką pracy narodowej, ważną, ale nie najważniejszą i jedyną, mówi M. „Samodzielność państwowa nie zbawi nas i nie utrzyma“. „Mieliśmy swe państwo, a straciliśmy je.“ To jednak nie znaczy, aby M. nie był za zrealizowaniem państwa czeskiego, nie! ale chciałby ukształcić swój lud, bo jak się zdaje podziela on opinię Spencera, że ludzie nie potrafią korzystać z swobody, o ile nie są do tego odpowiednio przygotowani. Zadaniem Czechów według M. kroczyć po drodze Husa, wytkniętej na nowo przez Palackiego i Hawliczka, poprawiając, rozumie się, ich program stosownie do nowszych pojęć i żądań.

Nie odosobnianie, nie zaskorupianie, ale „światowa centralizacya“ Palackiego t. j. ciągła styczność z światem przemysłowym, handlowym i umysłowym ma i dziś toż samo znaczenie, jakie Palacky przypisywał jej przed dwudziestu kilku laty.

Oprócz rusofilstwa w znaczeniu oczekiwania pomocy od Rosyi i przyłączenia się do niej, t. zw. cyryllometodeizm zapuścił pewne korzenie na Morawie. Prof. M. napada wogóle na Czechów za zbyt ekscentryczne i bezkrytyczne hołdowanie historyi. Czesi wynoszą pod niebiosa swych wskrzesicieli, ale żaden z Staro- i Młodoczechów nie zna ich pojęć; nikt nie przestudyował, nikt nie napisał o nich najmniejszej choćby monografii. To niepojmowanie i tę nieświadomość historyi M. wykazuje i co do rozgłaszanej idei cyryllometodejskiej. Czesi mówią, że ich zadaniem prowadzić dalej wypadkami nieszczęśliwymi przerwaną reformacyą Husa. Ale jak tę ich chęć pogodzić logicznie z żądaniem przyjęcia liturgii w języku starosłowiańskim, a dalej przejścia na prawosławie? „Nikt nie zabrania, mówi M., szczerym wyznawcom cyryllometodyzmu żyć i rządzić swą cerkwią według przekonań.“ Ale nie wolno używać go za środek polityczny, a używając opierać swe żądania na historyi, zupełnie mylnie przez quasi-politycznych wyzyskiwaczy przedstawianej.

Hus żądał wprawdzie reform kościelnych, ale uznawał kościół katolicki i nawet głowę Piotrową, o ile ta trzymała się prawa Chrystusowego. Od zasad kościoła prawosławnego różnił się najzupełniej, a co do hierarchii prawosławnej nie mógł jej przyjmować, bo nie przyjmował i katolickiej. Co zaś do języka Hus żądał prawa nauczania ludu w jego języku, żądał języka czeskiego (a nie cerkiewno-słowiańskiego), ponieważ tu język był środkiem przyrodzonym do podniesienia moralności i ducha religijnego, nowi zaś cyryllometodejczycy chcą z przerobionej religii ciągnąć korzyść dla swej polityki.

Gdyby Czesi, tak korzący się przed historyą, zgłębili prace swych odrodzicieli, może znaleźliby tam zdania niezgodne z wygłaszanemi przez nich pojęciami. Palacky np. zbadawszy gruntownie te sprawy, doszedł jedynie do przekonania, że u Czechów od dawna bywali ludzie, nie pozwalający się wodzić przez autorytety stolicy rzymskiej.

Wytknąwszy Czechom (staro i młodo) nieuzasadniony ich rusofilizm, cyryllometodeizm, przesadzony historyzm, a zarazem nieznajomość historyi, dalej brak wszechstronnego wykształcenia i samodzielności, bezkrytyczność, ukształcanie mózgów jedynie niemal za pomocą dzienników, dość miernych i stronnych, nareszcie brak obmyślonego programu politycznego, bałamucenie umysłów podawaniem wiadomości fałszowanych i pozostawienie prawie na uboczu potrzeb najniższych warstw społeczeństwa, a natomiast zbyt wielkie natężenie sił, a może tylko nagromadzenie słów w sprawie wywalczenia państwa czeskiego — prof. Masaryk wypowiada niejako nad Staro- i Młodoczechami *requiescat* (nie nad ich istnieniem, ale nad żywotnością ich wpływu). Strona bowiem staroczeska już padła, młodoczeska też traci grunt pod nogami, „bo Młodoczesi są to Staroczesi, jeno o dziesięć lat młodsi“. Mówiąc o Młodoczechach, mam tu zawsze na względzie Młodoczechów oficyalnych, reprezentowanych przez „Nar. Listy“, a nie realistów lub postępowców, którzy jako partya polityczna należą też do Młodoczechów (niejako lewe ich skrzydło), przedstawiających bądź co bądź w stosunku do Staroczechów żywioł więcej postępowy.

W końcu M. zwraca się do ruchu postępowego młodszej generacyi, do studenctwa. W początkach doby odrodzenia, kiedy nie było jeszcze ani kolei, ani dzienników, ani powszechnego wykształcenia elementarnego, studenci byli apostołami idei narodowej, potem zajmowali się sprawami politycznemi, dziś najwięcej socyalnemi. Studenctwo bojuje też żurnalistyką („Nar. Listami“) która dawniej, gdy młodzież nie miała w szkołach swojego języka, służyła mu za przewódzcę w sprawach narodowych, była najdogodniejszą lekturą pisaną po czesku. Dziś płytka żurnalistyka nie wystarcza młodzieży. Ztąd bój jej z Młodoczechami, literatury i nauki z żurnalistyką, dalszy niejako ciąg walki poczętej pierwotnie o rękopisy.

Młodzież postępowa odznacza się wprawdzie jeszcze dotąd eklektyzmem, dyletantyzmem, nieznajomością prac ojców budzicieli i brakiem wykształcenia politycznego. Nie brak jej jednak chęci do pracy; rozumie ona dobrze, że tylko wykształcenie da jej rzeczywiste podstawy do działania, zajmuje się tedy sprawami socyalnemi, literaturą powszechną, prądami nowszych czasów, — jednem słowem, na co bije ciągle Masaryk, młodzież postępowa kształci się nietylko specyalnie, ale i ogólnie, a że przytem przeniknięta jest duchem demokratycznym, ma więc przed sobą przyszłość — i wierzy w nią.

M. wytknąwszy młodzieży postępowej niejednolitość programu, ukształtowanego na znanym zjeździe w Pradze młodzieży słowiańskiej — i chwiejność w postępowaniu, rzuca rady panom studentom jak powinni się kształcić specyalnie i ogólnie, co czerpać, zkąd czerpać, (wskazuje między innemi na literaturę polską, która według słów M. ma wiele dobrego i pięknego w nauce i poezyi; ma dużo zwłaszcza przekładów naukowych, a nawet oryginalnych podręczników, których uczuwa się w Czechach brak wielki; zwraca wreszcie uwagę na małą znajomość języków i zaleca semestr lub dwa posłuchać wykładów na uniwersytecie polskim. Co zaś do polityki radzi mniej zajmować się nią na uniwersytecie czynnie, za to więcej teoretycznie, aby Czesi mieli posłów prawdziwie politycznie ukształconych, bo tylko tacy mogą z korzyścią kontrolować czynność administracyjną i nie dać się otumanić.

Co zaś do polityki wogóle, M. żąda otwartości, jawności (polityka nie powinna być augurstwem) taktyki pokojowej, środków moralnych, żąda reformacyi, nie rewolucyi. Rewolucya według M. to taktyka arystokratyczna, nieludowa, niedemokratyczna, do tego dziś bezmyślna (z powodu udoskonalonej broni), a nakoniec jest ona w sprzeczności z zasadami postępowców. Antimilitaryzm postępowców i rewolucya nie dają się pogodzić. Dziś rewolucya, mówi M., może być tylko środkiem obrony w razie gwałcenia praw, o ile nie ma innego sposobu, a nie środkiem zdobywania praw.

W obu książkach M. przeprowadza stale myśl potrzeby umoralniania i oświecania się Czechów, wykształcenia nietylko specyalnego, lecz i ogólnego literacko-filozoficznego. Zadaniem Czechów, że powtórzę raz jeszcze słowa Masaryka, kroczyć na drodze reformacyi Husa, podnieść się z upadku, poczętego nie na Białej Górze, lecz w roku 1487, roku prawa, które przemieniło lud w niewolników. Ludowi temu dać praw trochę nie wystarcza. On pracował na nas, my teraz musimy myśleć i pracować nietylko wespół z nim, ale i dla niego (między innemi starać się o coraz większe kształcenie mas — uniwersytety ludowe). A chcąc pracować z korzyścią, trzeba się oświecać i umoralniać. Wogóle M. ciągle wytyka Czechom ich piętę achillesową — brak gruntownego wykształcenia i w walkach politycznych przyszarzoną moralność.

Obie książki pisane są nadzwyczaj spokojnie; wszystkie swe poglądy M. uzasadnia cytatami i zapatrywaniami uczonych; poglądy przeciwników zbija w tenże sposób. A dostaje się tu materyalizmowi, pozytywizmowi, socyalizmowi, gwałtownemu radykalizmowi i innym izmom, jak np. eklektyzm lub dekadentyzm itd.

Wogóle książki prof. M. mieszczą wiele cennych spostrzeżeń i wskazówek, z których bodajby Czesi chcieli korzystać. Wtedy stałaby się snać możliwą wspólna praca czesko-polska nad zdobywaniem praw i rozwoju wewnętrznym obu ludów.

Zyg. Mak.

„TŁUM.“

Konserwatywna publicystyka nasza nie wielu może się wykazać pracownikami o takiej erudycyi, jaką się odznacza najświeższej daty pisarz i bojownik konserwatywnego obozu, emerytowany radzca sądowy namiestnictwa, dr. Bronisław Łoziński. Z wyjątkiem broszury o reformie wyborczej, której wartość polegała wyłącznie na chwilowej aktualności traktowanego w niej zagadnienia, cechuje wszystkie rozprawy p. Łozińskiego iście niemiecka erudycya. Zarówno gruba rozprawa o nieznajomości ustaw („Ignorentia iuris“ Lwów 1893) jak skromniejsze co do objętości dysertacye „O prawie zwierząt“ (Lwów 1895) i o „Tłumie“ (Lwów 1895) składają oczytaniu autora i jego pracowitości mozolnej świadectwo nader chwalebne.

Gdyby z erudycyą i pracowitością zawsze szła w parze bystrość — możnaby p. Łozińskiego nazwać publicystą naprawdę wyjątkowym w galicyjskich stosunkach. Niestety jednakże często bywa inaczej. Pod natłokiem cytat i wyciągów, pod brzemieniem materyału zebranego z różnych uczonych książek — niknie często myśl oryginalna i cała uczoność niejednego erudyta nie wynagradza dla braku jasnego na rzecz poglądu!

Pan dr. Łoziński należy do pisarzy, u których z uczonością idzie w parę — dobra wola. I to już znaczy bardzo wiele — zwłaszcza u nas! Szkoda jednak, że na usługi tej dobrej swojej woli nie ma p. Ł. bystrego i na wysokości dzisiejszych wymagań stojącego poglądu na świat i ludzi; szkoda, że erudycya jego, czerpana z niezliczonej masy mniej lub więcej grubych ksiąg i broszur zamknięta jest w zacieśnionej atmosferze wstecznych i z duchem czasu niezgodnych zapatrywań, którym brak świeżości, płynącej jedynie z bezpośredniej obserwacyi życia, z bezpośredniego z niem zetknięcia, z gorącego przejęcia się sprawami społecznemi nietylko teoretycznego, lecz także — praktycznego.

Pan Łoziński, siedzący przy biurku swojem w otoczeniu grubych foliałów i zatopiony w badaniu mądrości filozofujących teoretyków, ważący roztropnie zdania „pro“ i „contra“ przeciwników lub zwolenników wybranej przez siebie tezy — ani się domyśla, że tymczasem za oknem jego gabinetu życie zadaje kłam najwy-

mowniejszym teoryom i kpi sobie z wszelkich ram, w które chcianoby ująć jego objawy.

Powiadam „tezy“, gdyż z całego tonu broszur p. Łozińskiego jak i z zawartej w nich erudycyi łatwo spostrzedz się daje apriorystyczna metoda autora. Pan dr. Łoziński jest erudytą, ale erudycya to nabywana: von Fall zu Fall — w miarę potrzeby o ile i w jakim kierunku wymaga tego dany przedmiot. Metodę tę wyobrażam sobie w ten sposób, że p. Ł. zamierzając pisać np. o „tłumie“ prawdopodobnie e x r e jakiegoś nowo wydanego dzieła — tym razem była niem niezawodnie najnowsza książka Scipiona Sighele „Tłum zbrodniczy“ *) — zapoznaje się z szeregiem książek, traktujących o tym samym przedmiocie i poczyniwszy odpowiednie studya teoretyczne siada do pracy. W ciągu paru dni powstaje w ten sposób pokaźna broszura, będąca streszczeniem kilku lub kilkunastu innych książek, naszpikowana cytatami, tytułami i datami — czyli „pełna olbrzymiej erudycyi i zdumiewająca rozległością zużytkowanego w niej materyału“. Zauważyć należy, że na taką erudycyę zdobyć się nie trudno, — nawet laikowi; gdy jednak p. Łoziński i n l i t e r a r i i s e t p u b l i c i s jest bądź co bądź także nowicyuszem, tedy nie czynimy mu z tego zarzutu, ale poprzestajemy na powyższej uwadze.

Nie jako zarzut też poważny, ale jako uwagę skromną podnieść muszę inną także okoliczność dotyczącą sposobu metody pisania, jakiej się trzyma p. Łoziński. Do dr. Łozińskiego dałoby się z całą racyą zastosować zdanie: że pisma jego zawdzięczają swoje istnienie wynalazkowi cudzysłowów w druku. Gdyby nie ten potulny znaczek pisarski — nie wiem, jakby wyglądały broszury p. Ł: zmalałyby chyba z 80 stronnic na dwadzieścia, a i na tych dwudziestu spotkaćby się musiano z wielu nieoryginalnemi zdaniami. Czytelnika broszur pana Ł. od razu uderza częste używanie cudzysłowów, świadczące wprawdzie o wielkiej sumienności autora, do której nie przyzwyczaili nas chyba publicyści galicyjscy; — lecz pozwalające łatwo odgadnąć . . . źródła jego mądrości.

Szczególniej uderza ten system w ostatniej broszurze dr. Łozińskiego pt. „Tłum“ **). Chcąc dać miarę erudycyi zawartej w tej broszurze, liczącej raptem 80 stronnic wyraźnego druku, zadałem sobie trud skonstatowania, ilu autorów p. Ł. cytuje i wspomina w tej rozprawce. Otóż nie mniej i nie więcej jak 25ciu. To mi się nazywa erudycya! Każda niemal stronnica poświęcona jest bądź cytacie, bądź wspomnieniu jednego z autorów, a samo przytoczenie ich nazwisk na tem miejscu dałoby wyobrażenie o „zdumiewająco rozległym materyale“, którym się posługuje dr. Łoziński przy budowaniu „swoich“ teoremów.

Mając pod ręką tak bogaty i dobrany materyał mógł p. Ł. z łatwością zabrać się do roztrząsania teoryi o supremacyi czyli przewadze tłumu w życiu społecznem. Uczynił to też z rozmachem, znamionującym zasobnego w siły i chęć do boju publicystę i nie puścił płazem prawie żadnemu z cytowanych autorów, nawet tym, z którymi, jak z Nordauem i Spencerem, zgadza się w zasadniczym na powyższą kwestyę poglądzie. Najwięcej stosunkowo uwagi, a zatem i miejsca w swej broszurze poświęcił dr. Łoziński: Tarde'owi, Joly'emu, Sighele'mu i Tournalowi; dwom ostatnim dostały się też najgorsze cięgi.

Główne zasady, na których p. Ł. opiera swoje zapatrywanie na rolę tłumu czyli masy w życiu społecznem, a raczej swoją krytykę zapatrywań cudzych są następujące:

Zasada supremacyi większości we wszystkich zakresach życia, odgrywa obecnie rolę panującą. Zasada ta obwarowana jest nietylko sankcyą konwenansową w życiu towarzyskiem, lecz także prawną i moralną na całym obszarze życia publicznego.

*) Przekład polski ukazał się niedawno w Warszawie. Zamieściliśmy przed kilku miesiącami obszerne streszczenie. Przyp. Red.

**) Tłum. Szkic socyologiczny. Kraków 1895; 8º, str. 80.

Owoż, czy zasada ta stanowi formułę niezachwianą w swojej powadze, zwłaszcza w chwili obecnej? Nie! albowiem Franck w dziele swojem „Filozofia prawa karnego“ (P h i l o s o p h i e d u d r o i t p e n a l) na str. 20 tomu 2go powiada: że zarówno jak jednostki tak i ciała reprezentacyjne, rządzące się zasadą supremacyi większości, nadużywały hasła dobra publicznego do okrutnych lub niegodziwych celów, skutkiem czego hasło to stało się „formułą piekielną“ (str. 7—9).

Czy zasadę większości uważać można za pewnik matematyczny? Oczywiście, że nie — choćby dla tego, że ma się w życiu do czynienia z ludźmi, a nie z cyframi, a nadto dr. H. Rosin w rozprawie „Minoritätenvertretung und Proportionalwahlen“ krytykuje zasady supremacyi większości, ograniczając zresztą swoje aspiracye jedynie do żądania ulgi w tej przewadze przez zapewnienie jakiejś takiej reprezentacyi dla mniejszości (str. 11) a oprócz niego druzgocą tę zasadę w swoich dziełach takie powagi jak Mill, Spencer, Holtzendorf, Nordan itd. itd.

Czy tedy zasada supremacyi większości da się zastąpić inną? — Nie, bo w społeczeństwie z samorządnym ustrojem życia publicznego zasada to podstawowa, bez której ustrój taki pomyśleć się nie da — więc?...

Na tem pytaniu zatrzymuje się autor, poddając krytyce obecne wykwity „supremacyi większości“, mianowicie „najświetniejszą widownię panowania zasady większości“ — parlamenty tegoczesne. Sąd p. dr. Łozińskiego jest w tym punkcie tak dosadny, że nie waham się podać go in extenso w cudzysłowie: „Jeżeliby (parlamenty tegoczesne) reprezentowały, jakby się to wydawać mogło, ekstrakt inteligencyi społeczeństwa, to ich reputacya nie mogłaby była już za życia jednego pokolenia upaść tak nizko, jak to dziś wszędzie widzimy. Miarą tego upadku jest ustawodawstwo, dziryt działalności parlamentów, praca, której ani same dobre chęci, ani nawet takie chęci połączone z bogatym zasobem doświadczenia, podołać nie mogą, jeżeli nie przyjdzie im w pomoc zorganizowane współdziałanie prawdziwej a szerszej (?) inteligencyi. A jakże wygląda to dzisiejsze ustawodawstwo parlamentarne? Zamiast odpowiedzi postawmy od razu dalsze pytanie: czy mogłoby ono jeszcze być gorsze, aniżeli jest dzisiaj?...“

Skoro takie są owoce owej rzekomej supremacyi większości, którą p. Ł. upatruje w dzisiejszym ustroju, to może jest on zwolennikiem indywidualizmu w życiu społecznem? I tak i nie! Poglądy Spencera, stającego w obronie najzupełniejszej niezawisłości „jednostki wobec państwa“ przypadają wprawdzie do smaku panu Ł., lecz nie ma on odwagi zgodzić się także na konsekwencye tych poglądów. Przeciwnie, owa brutalność indywidualna, która raz pod maską genialności (Bismark), innym razem zaś pod osłoną sprytu lub kuglarstwa nadużywa zasady większości dla zdobycia sobie pewnego rodzaju jedynowładztwa — wydaje się panu Ł. „deponacyą zasady większości“.

I tak źle i tak nie dobrze; najgroźniej jednak przedstawia się panu Ł. niebezpieczeństwo skutkiem „brutalnej przewagi“ żywiołów prewrotu, gotowych nawet — do teroryzmu, albowiem klasa robotnicza, doszedłszy do poznania, że obecny ustrój społeczny przyznał władzę absolutną — liczbie, wprowadzając prawo większości w miejsce władzy samodzierżnej — i uważając się za najliczniejszych, żąda — jak to stwierdza Sighele! — na podstawie logiki, którą się rządzą inne klasy, daleko więcej praw i przywilejów, aniżeli dotąd posiada!

Wobec takiej zuchwałości — supremacya większości stanowczo groźną jest dla ludzkości!

Więcej niż połowę swojej rozprawy poświęca p. Łoziński rozbiorowi różnych teoryi o tłumie zbrodniczym, wychodząc widocznie z tego założenia, że masa jako taka jest już sama przez się przedmiotem kryminologii. W wywodach swoich potakuje p. Ł. oczywiście tym autorom, których zdanie podziela, zarzucając natomiast parodoksalność tym, którzy w tłumie widzą zbiorowisko (amalgament) ludzkie z zupełnie samodzielnym ustrojem psychicznym. W zachwyt wprowadza go za to „głębokie“ zdanie Bernarda de Glajeur, b. prezydenta trybunału apelacyjnego w Paryżu, iż „w skupieniu się ludzi wytwarza się zgnilizna tak samo, jak w jabłkach, leżących obok siebie“. (Str. 64).

Za pomocą argumentacyi, której próbkę przedstawiłem czytelnikom, streszczając powyżej pokrótce główne punkta wywodów p. Łozińskiego, dochodzi autor „Juri ignorantiae“ także do wniosków „politycznych“. Stwierdziwszy na podstawie zdań, zaczerpniętych z dzieł Tarde'a, Proala i t. d., że właściwym kotłem, w którym się wytwarza dzisiaj tłum — są miasta, będące wyobrażeniem „luźnego agregatu ludzkiego“, podczas gdy rodzina, „owa za świadectwem historyi prawa (!) od początków bytu ludzkości niezmienna w swoich funkcyach komórka organizmu społecznego“ skupia się na wsi, i zaakcentowawszy wątpliwość swoję, czy ten a ten szereg jest „niewzruszonem znamieniem całej fazy społecznego rozwoju“, czy też tylko „dowodem zaniedbania moralnej strony wychowania społecznego, które jeszcze z pomocą bożą da się naprawić, wypowiada dr. Łoziński szereg oklepanych „uwag“ i podaje rady praktyczne: jak najlepiej możnaby odsunąć tłum — zdaniem p. dr. Ł. zawsze mniej lub więcej „zbrodniczy“ — od udziału w urzędach i w życiu społecznem.

Poglądy pana Łozińskiego osiągają swój punkt — że się tak wyrażę — kulminacyjny w zdaniu, że dzisiejsza, ogromnie wybitna (!?) rola tłumu w sprawach publicznych, jest widomą oznaką atawizmu społecznego, oderwaniem się instynktów pierwotnego stanu ludzkości, „jakim w zakresie indywidualnym mogłaby być... zbrodnia“ (!); — jednym ze znaczących symptomów obecnej niezdrowej sytuacyi społecznej, której zdrowiu tak bardzo — zdaniem p. dr. Łozińskiego — zagraża... tłum.

Gdybyśmy mieli wątpliwość co do istotnego znaczenia tych „prawd“ oklepanych, świeżo teraz „wynalezionych“ przez p. Łozińskiego i co do celów, jakie ma na oku w swej rozprawie, to rozwiać nam muszą iluzyę ostatecznie konkluzye praktyczne, do których p. Ł. dochodzi.

Dr. Łoziński przez wyraz „tłum“ rozumie tę większość, którą stanowią t. zw. niższe warstwy społeczeństwa, a więc w pierwszym rzędzie — masy ludu pracującego, który dzisiaj już śmie się domagać „daleko więcej praw, aniżeli dotąd posiada“. W nim widzi p. Ł. główne niebezpieczeństwo dla dzisiejszego ustroju — z pośród możliwych najidealniejszego — i z tem się nawet niejednokrotnie w rozprawie swojej zdradza. Zapomniał jednak p. Ł., że poza sferą klerykalno-bankierskich pojęć o wolności i niezależności jednostek od społeczeństwa istnieje przekonanie o wiele silniejsze i bardziej usprawiedliwione, 'że nie społeczność od jednostki, lecz jednostka od społeczności zawisłą być musi w granicach koniecznie dobrem ogółu zakreślonych. Bezmyślne powtarzanie frazesu, że ze zmianą ustroju obecnego indywidualność, dzisiaj już poddana pewnej supremacyi większości, — zduszoną zostanie zupełnie, wyszło już z mody nawet u najpłytszych polemistów dziennikarskich, o czem dr. Ł., jako nowicyusz na polu publicystyki zdaje się nie wiedzieć. Dzisiejsza większość rządząca, owa „przeklęta warstwa większości“ — przeciwko której ognisty protest podniósł Ibsen w swoim „Wrogu ludu“, — rekrutująca się z przedstawicieli warstw „uprzywilejowanych“ nie przeraża jeszcze pana dr. Łozińskiego, choć z lubością wspomina pan Ł. te czasy, gdy i ta chołota milczała pod stopą wszechwładnej autokracyi świeckiej i kościelnej. Niebezpieczeństwo tkwi dla p. Ł. w tej warstwie, która dopiero przyjdzie do steru władzy, a która nie będzie mogła się wylegitymować nawet takiem świadectwem, jakie stanowi tytuł „własności“ dla mieszczańskich zakusów. Przeciwko niej też wymierzonem jest ostrze..... praktyczne długich wywodów pana dr. Łozińskiego, który wypisawszy z dzieł dwudziestu pięciu autorów sentencye o „woli tłumu“ —

zakończa kompilacyę swoją wezwaniem do... władzy bezpieczeństwa, aby pomna zasady, że „lepiej rozumem niż tłumem“ — nie przemawiała do tłumu rozumem, lecz jak tego nakazuje „powaga prawa i władzy jako jego organu“, czuwała nad niedopuszczeniem tłumu do zajęcia się sprawami życia publicznego. „Energiczne wystąpienie organów prawa — cytujemy własne (nie cytowane zkądinąd) słowa dr. Br. Łozińskiego — w porę i ze środkami do danej sytuacyi dobrze zastosowanemi, nigdy nie zawiedzie oczekiwań wobec tłumu.“ (Str. 80).

„Das ist also des Pudels Kern!“ — oto ostateczna konkluzya, do której dochodzi w swych „naukowych“ wywodach świeżo upieczony socyolog galicyjski, em. radzca namiestnictwa, dr. Bronisław Łoziński. Zaiste! o wieleż lepiej brzmi zdanie powyższe od prostego okrzyku filistra małomiasteczkowego, który na widok dysputującego o polityce robotnika wrzeszczy na cały głos: „P o l i z e i!“ Pan Łoziński wie, że tchórzliwy okrzyk, uchodzący zwykłemu „obywatelowi“ — nie przystoi mężowi, strojącemu się w biret powagi naukowej. Dla nieuprzedzonego jednak słuchacza oba te głośne objawy serdecznego strachu mają jednakie znaczenie i nikogo nie zmyli różnica formy, w jakiej przejawia się uczucie — filistrów.

Dr. Ignacy Suesser.

BADANIA NAUKOWE.

Do jasnej góry.*)

Częstochowa w życiu naszego ludu odgrywa olbrzymią rolę. Jest ona duchowym łącznikiem, który swojemi niewidzialnemi nićmi spaja rozproszone i o sobie nie wiedzące osady włościańskie, zbliża je i wiąże w całość ideową. Pobożność tłumów, działając w ciągu wieków, wyżłobiła tam stałe łożyska dla swego nurtu, wyrobiła formy spotkania pątników i wędrówki, wypracowała samorzutną organizacyę. O tem wszystkiem wiemy bardzo mało. Lubo o Częstochowie dużo się mówi, lecz swoją drogą nic a nic nie zrobiono dla zbadania tych stosunków, które zwolna powstały dokoła niej i utrwaliły się z biegiem pokoleń. Książki, poświęcone Jasnej Górze, opowiadają o doznanych cudach lub dziejach klasztoru, wymieniają kosztowne ofiary, któremi magnaterya nasza dziękowała ongi za otrzymaną pomoc. Milczą zaś o wszystkiem, co wychodzi za wązkie koło chronologii ofiarodawczej. Sądzę, że rzadko kto nawet pojął, co za nieocenione źródło zabytków i zwyczajów oczekuje tam badacza. Cała nasza kultura włościańska (istnieje ona bowiem, mimo że „starsi bracia“ w narodzie nie chcą jej przyznać) znalazła swój wyraz najmocniejszy właśnie w czci dla Jasnej Góry, w produkowanych tam dziełach artyzmu religijnego, w ekstazie, ogarniającej pątników. To też z rzeczywistą ciekawością wzięliśmy do ręki książkę p. Władysława Reymonta, w której opisuje on swoją pielgrzymkę wśród takiej gromady pobożnych. Autor puścił się z kompanią, wiedziony chęcią przyjrzenia się duchowej fizyognomii świętej rzeszy i zbadania pulsu, uderzającego tam w zebranym tłumie. Wrażliwy i prosty, posiada on talent podchwytywania przyrody ludzkiej, odzianej w zwykłą siermięgę, oraz oddawania jej podmuchów. Wędrówka jego zresztą posiada wartość nietylko publicystyczną: utrwala ona w naszem piśmiennictwie nowe nazwisko, które zajmie w niem, tuszymy, miejsce niepoślednie.

Reymont, językiem bez efektów i dla tego silnym, oddaje swoje wrażenia: z dnia na dzień kreśli nam powstawanie jaźni zbiorowej, objętej ekstazą religijną, maluje swój stosunek do tłumów, w którym był pierwotnie jako kropla tłuszczu na powierzchni wody, odsłania duszę swoich towarzyszy. Może nie zamierzając, dał on nam powyższy przyczynek do psychologii gromadnej.

I.

Tak, cała wędrówka p. Reymonta to opis rodowodów jaźni zbiorowej i to nie zwykłej, ale organizującej się na podstawie tradycyi, przekazanej ustnie. Bo zaiste, czem jest kompania pętników? Z początku przedstawia ona zbiór osób sobie obcych, z których każda skądinąd przyszła. Gromadki swojaków giną w tem olbrzymiem, rozproszonem cielsku, które niekiedy ciągnie się luźno na przestrzeni wiorst wielu. Ludziska rzucili dom i gospodarstwo, łóżko i pierzynę i puszczają się w podróż uciążliwą. Każdy może idzie z innem pragnieniem w duszy. Ale istnieje coś, co łączy wszystkich, z początku luźno, potem coraz silniej, wreszcie religijnie. Te drobne, szare sylwetki ludu, te profile ostre, twarze szorstkie i grube, postacie kwadratowe, pozginane pod tobołami już przy wyjściu z Pragi, czynią na swoim towarzyszu, zamierzającym ją opisać, silne wrażenie: miały one w sobie jakąś moc i namaszczenie ogromne. Był to materyał przyszłej jaźni duchowej. Zresztą namaszczenie zjawia się w pierwszych dniach tylko podczas chwil uroczystych, w zwykłej zaś powszedniości przeważa jeszcze rozproszenie. „Kto śpiewa to śpiewa, reszta pielgrzymów gawędzi z cicha. Słyszę najrozmaitsze szczegóły o gospodarstwie, wsiach, ceny zbożą zdają się ich najwięcej interesować. Na wszystkie strony krzyżują się zapytania: skąd brat? skąd siostra?“

Ale istnieją tam w gromadzie czynniki, zwolna dokonywujące jej przeobrażenia: usuwają one niejednolitość, podniecają ducha zbiorowości i harmonii. Jako zasada ogólna, pątników obowiązuje równość ewangeliczna, przekazana przez tradycyę. Znikają godności i odróżnienia, zwyczaj bowiem nie pozwala do nikogo mówić inaczej, jeno: „święty bracie“, „święta siostro“. Rzecz to z pozoru błaha, ale ważna w swoich skutkach. Osoby, które się dotychczas nie znały, są wzajemnie postawione w pewnym szczególnym stosunku. Powstaje od razu zażyłość, wzrastająca w swojej mocy w miarę wędrówki. Zwolna znika nawet różnica pomiędzy „mojem“ a „twojem“, ten kto ma, karmi łaknącego i obraża się, jeśli za to podają mu kwotę pieniężną: „Zachciałeś, bracie, ukrzywdzić dobre dusze — wyrzucają towarzyszki podróży p. Reymontowi — zapłacić za dobre serce groszakiem! To nie jest poczciwie i nie po szlachecku!“ Człowiek naprzód nagina się do wyrazów i zwrotów, nakazywanych przez tradycyę, czyniąc im zadość machinalnie. Ale dźwięk prosty: „bracie!“ na tle wzrastającej ekstazy, zaczyna zamieniać się na czyn braterski, czcza formuła ożywia i napełnia się duchem. Znaczenie symbolu w życiu społecznem, pozornie jałowego i bezbarwnego, występuje w swojej pełni. Zwłaszcza braterstwo to uwydatnia się w pobliżu Jasnej Góry, w ostatnich dniach pielgrzymki: „Sypiam — opowiada p. Reymont o sobie — pod tem dobrem słońcem, jadam, co jest, jeśli jest, idę, jak wszyscy. Żądają czegoś, daję — jeśli mam. Nie jem i nie piję nic więcej nad chleb i herbatę. A nie mam tego, to nie idę już szukać po chałupach, bo wiem, że ta siostra, co obok, ten brat, co przedemną i ci wszyscy dokoła, których przyjazne spojrzenia często odczuwam, pospieszą mi z kromką w imię braterstwa... Będę chory, to mnie wsadzą na wóz i powiozą. Będę biedny, to bez tańczącej filantropii nakarmią mnie, zbiorą wytartych groszaków i dadzą — i prosto to zrobią i szczerze. Umrę, to mi na jakim przydrożnym cmentarzu usypią mogiłę, pokryją tarnią, wsadzą wierzbę płaczącą i pójdą, a o każdej wiośnie, gdy tędy przechodzić będą, rzucą gałąź tarniny lub pęk sasanek leśnych“.

Istnieje też w kompanii hierarchia organizatorów, których zadaniem jest podniecać ducha, zagrzewać upadających, gromić krnąbrnych, welczyć ze swawolą i rozpustą. Oni to poddają pieśni, które swojem brzmieniem skracają mozoły drogi, oni to na noclegach czytają ustępy święte. „Gdzie wy idzieta, bracia i siostry — woła jeden z takich kierowników do gromady o świcie pod krzyżem, karcąc ją za dostrzeżoną swawolę. — Czy idzieta na jarmark? To czemu krzyż jest z wami? Czy do karczmów na zabawę albo na weselę? To czemu pobożne pieśni śpiewata, imienia boskiego używata? Bo wy nie idzieta na odpust, ludzie, nie! Na rozpustę idzieta ludzie, a nie do Matki Najświętszej!“ Ci bracia starsi są to ludzie prości, ale umiejący przemówić do serca prowadzonej rzeszy i brać tony na tym instrumencie tworzącej się zbiorowości, dzielni w radzie, stanowczy w potrzebie.

Istnieją po drogach przybytki, równie przeznaczone do oddziaływania w tym samym duchu. Są to kościoły, nieraz zwykłe, przydrożne krzyże. Tam kompania staje na czas jakiś, orzeźwi się w kąpieli podnieconego zachwytu, wzmocni swoje siły duchowe na dalszą drogę.

Tradycya, zorganizowana i zaklęta w zwrotach symbolicznych, upostaciowana w dziełach z kamienia lub z drzewa i nie posiadająca ciała materyalnego, czycha po drodze na pątników, luźne gromadki zbliża, wyklina rozdźwięk duchowy i stwarza jaźń zbiorową. Ale najwytrwalej i najsilniej oddziaływa sama Częstochowa. Im bliżej ona, tem większy rozmach siły wewnętrznej, tem większe zaparcie. Słońce paliło, kurz zapierał piersi, zmęczenie obciążało wszystkie członki, ale myśl o tem, że Jasna Góra coraz bliżej i bliżej, pokrzepiała upadających ze znużenia. Aż wreszcie, na pewnej odległości, zapanowała jedynie w umysłach: „Myśmy mijali lasy, przechodzili wsie, łany zbóż, strumienie, i parliśmy się, jak jaka rozpętana, żywiołowa siła, do tego punktu przyciągania, co tkwił w każdym mózgu i w każdem sercu rozrastał się coraz potężniej i oddziaływał coraz silniej. Już nie słychać było ani gawęd ani żartów, pieśni śpiewano żarliwiej i liczniej. Pod każdym krzyżem czołgano się w prochu, całowano nietylko krzyż, ale i sztachetki, kamienie, które pod nim leżały. Ciała znikały, pozostawały tylko twarze w rysach i wyrazie i oczy coraz więcej płonące gorączką. Indywidualności milkły i zlewały się z sobą. Nie było już znać szlachty, chłopów, mieszczan, kobiet ani mężczyzn, wszystko spływało się w tej jednej, rozpalonej do białości fali uniesienia religijnego. Na odpoczynkach walili się na ziemię, jak kloce drzewa i za pierwszym odgłosem dzwonka już stali gotowi, już szli i zaczynali śpiewać. Większość żyje suchym chlebem, który dźwiga na plecach, a nikt nie dba, czy jadł, czy spał, czy jest chory, czy upał lub zimno — tylko pada, podnosi się i idzie z coraz większem natężeniem.“ Tak dzieje się już na parę dni przed dojściem do Jasnej Góry. Wreszcie kompania dostaje się do okolicy górzystej, leżącej bezpośrednio przed miejscem świętem. Ostatni to dzień pielgrzymki! Idą tak prędko, że wszystkie piersi rzężą. Na każdym szczycie wszystkie oczy zanurzają się w mgle i niespokojne, gorące spojrzenia szukają konturów wieży klasztornej. „Naraz jakiś dreszcz dziwny przeleciał po tłumie. Słońce podniosło się ponad mgły i w dali, wprost nas, zarysował się cień, niby majak wyniosły, i zapadł się, bo mgły zakłębiły się. Niby jęk zawodu zaszemrał... Ten dreszcz, przenikający co chwila, tak oślepiał i ubezprzytomniał, że darli się wprost naprzód. Krwawych piętn na ziemi i kamieniach było coraz więcej, ale szli bez uwagi na ból, na krew płynącą z nóg...“ Słońce podniosło się i odsłoniło wieżycę. „Wszystkie oczy uderzyły o tę górę z wieżycą na szczycie. Maryo! buchnęło jak płomień z tysięcy piersi i tysiące ciał runęło na ziemię z krzykiem radości. Widok ten, niby orkan, rzucił te wszystkie głowy w proch. Zaczęły płynąć łzy rozradowania, a oczy promienieć radością, wszyscy się trzęśli w łkaniu, co serca rozsadzało, i nie było ani jednej duszy, ani jednej woli, coby nie leżała w zachwycie łzawym. I ten płacz tak się podnosił, że przechodził

*) Z powodu Władysława Reymonta: „Pielgrzymka do Jasnej Góry“.

w jęk, w ryk prawie, zalewał mózgi i serca i stapiał wszystkich w jednę bryłę drgającą w łkaniu, w jedno uczucie, wyrywał z wszystkich serc smutki, bóle, całą gorycz istnienia. I ta głęboka, boska poprostu przez moc swoję rytmika płaczów, prośb i entuzyazmów długo dźwięczała w powietrzu, okręcała wszystkie ciała, przepalała je niby wicher ognisty i przekuwała dusze na inną miarę. Popowstawali i wszystkie twarze rozsłoneczniły się nagle, spotężniały w wyrazie. Zaśpiewali pieśń do Matki Boskiej i szli z siłą światłości dziwnej w oczach, z uśmiechem na chudych twarzach, pełnych śladów utrudzenia, a akcenty tego hymnu tryumfalne biły nad ziemię.“

Do tego opisu można dodać coś, nawet bardzo wiele, ale przenigdy odjąć. Sądzę jednak, że dodać mógłby nie pisarz, posługujący się piórem i utrwalający jedynie obrazy. To tylko muzyk zdobyłby się na ujęcie w potężnej melodyi tego wybuchu namiętności, tej rytmiki ekstazy, połączonej pospołu z płaczem i z dreszczem nerwowym.

Nazwałem pracę W. Reymonta przyczynkiem do psychologii zbiorowej. Czytając jego pielgrzymkę, mimowoli wciąż zabiegałem wyobraźnią w przeszłość dziejową. Jego prosta opowieść odsłoniła mi więcej psychologię krzyżowców, ciągnących na oswobodzenie z rąk pogańskich grobu Chrystusa, aniżeli sążniste monografie, tak obfitujące w szczegóły, ale w których nieobecny jest właśnie duch rycerzy-pątników. Po krzyżowcach przesunęły się tłumy biczowników, później inne obrazy, i jeszcze inne. Tam, na stronnicach „Pielgrzymki“, w miarę jak je przerzucamy, tworzy się jaźń zbiorowa, nie chwilowa, lecz tygodniowego życia, nie zwykła, ale rodząca się na podstawie tradycyi. Istnieje tam staroczesny obyczaj, wypracowany w ciągu pokoleń, a oddziaływający od pierwszej chwili. Pobożni, którzy pozostawili go w spadku po sobie, oddawna spoczywają w grobie, lecz dzieło ich ducha zbiorowego żyje, przyspiesza powstawanie każdego nowego organizmu gromadnego, według wskazówek przeszłej empiryi i przeciwdziała swawoli indywidualnej i rozpasaniu, stworzyło cement pożycia społecznego i normy wzajemnego stosunku. Zmarły panuje nad żywym i kieruje jego czynami, przyspiesza uderzenie jego serca, ekstazę jego nerwów. Nowy pątnik faktycznie, od chwili, kiedy stanął w szeregu, stąpa w ordynku — z nieżyjącymi.

L. K.

NA WYŁOMIE.

(Tout Posen. — Przed jutrem. — Gasnąca kultura. — Wycieczka Górnoszlązaków. — Jeszcze o Galicyi.)

Tęsknota za morzem i górami coraz silniej wpija się w duszę na rozpalonym bruku poznańkim. Coś rwie nas w świat daleki, coś męczy w tej atmosferze cięższej, w miliony pyłków duszących rozdętej, coś szarpie za pióro, wysusza myśli, plącze wiązania stylowe. Bezwładność natury ubezwładnia ludzi. Więc kto może, sznuruje sakwy, chwyta za kij podróżny i, jak głosił jeden z ś. p. profesorów moich na lekcyi stylu polskiego, „z świstem parowozu śle pożegnanie ojczyźnie“.

Jeżeli jednak mówimy, że w pustkę zmienia się Poznań, to naśladujemy tylko kłamstwo Francuzów, dla których „tout Paris“ znaczy tyle, co pianka społeczeństwa — kilkadziesiąt tysięcy tych, którym życie kamieni zamiast chleba nie daje, a w najszerszem znaczeniu ludzi, którym za mękę życia czerpać wolno chwilami z rozkoszy wytchnienia i róże zbierać po drodze. Tak! pustka na szczytach, lecz olbrzymie niziny nie zmieniają oblicza. One zawsze na miejscu, zawsze znojne, czarne i coraz głośniejszą skargą urągające niebu i prawidłom świata. Jakże to mówi Sienkiewicz: „Pod nami coś się dzieje, coś się staje, jest walka o byt, o kawałek chleba, jest życie realne, pełne mozołów, pełne mrówczej pracy, zwierzęcych potrzeb, apetytów, namiętności, codziennych wysileń, — życie ogromnie dotykalne, pełne zgiełku, które huczy i przewala się jak morze, a my siadamy sobie oto wiecznie na jakichś tarasach, rozprawiamy o sztuce, literaturze, miłości, kobiecie, obcy temu życiu, dalecy od niego, wymazujący z siedmiu dni tygodnia sześć powszednich... I gdyby tylko chodziło o tak zwaną arystokracyę rodu i pieniędzy, zjawisko nie byłoby zbyt ważnem. Ale do tego oderwanego świata należą mniej lub więcej wszyscy ludzie, posiadający wyższą kulturę, należy poniekąd nauka, literatura i sztuka... Nie mówię o tem jako reformator, bo na to nie mam dość siły. Wreszcie co mnie to może obchodzić! Będzie, jak być musi! Chwilami jednak miewam półjasne poczucie jakiegoś ogromnego niebezpieczeństwa, które grozi całej kulturze. Fala, która nas spłucze z powierzchni ziemi zabierze więcej, niż ta, która spłukała świat pudrowanych peruk i żabotów.“

Tak! my do wschodów słonecznych wyciągamy ręce, słuchamy szumu bałwanów morskich i przeklinając prozę szarego bytu, uciekamy na górskie szczyty, gdzie piękno ma tron granitowy, — my losów pieszczochy, my nie robotnicy, lecz artyści życia, — a tam zczerniałe od pracy miliony zostały na glebie przy taczkach. Tam nie ma pustki sezonowej, tam ludzie nie łamią sobie głowy nad słodkiem pytaniem: w góry, czy nad morze? tam chorobliwych dreszczów i bezwładnych istot sierpniowe słońce nie rodzi — tam każdy zawsze na miejscu, zawsze tłum równy i równe szemranie. Nie wiem, czy głuche przeczucia Płoszowskich zwiastują nam orkan wstający z pomruków motłochu i druzgocący filgrany kultury, — nie wiem, czy ta nowa epoka ukaże się kiedyś w błyskawic ogniach i piorunów graniu, — ale wiem, że fala, co szumi tam w dole, już rozpoczęła niwelacyjną robotę.

Cichy, jak przypływ morza, idzie ku nam duch przeobrażeń: chwilami tylko silniejszym pluskiem znać daje o sobie i niewstrzymany w swym biegu, rośnie i rośnie bez końca. W społeczeństwie naszem coś się przewraca, — ta idąca fala podmywa „tarasy“ i arystokratyczne piętno narodu ginie w powodzi ludowych żywiołów.

Dziwić się nie można, że przerafinowanym dzieciom kultury strach tej olbrzymiej masy, która się toczy powoli i dzwoni śmierci wyrokiem. One tak ukochały wyżyny swoje, taki świat piękna wypieściły sobie, nad rzeźbionemi tronami rozpięły gazy błękitne zasiane gwiazd mirjadami, i wysoko nad czarnym tłumem żyją oderwane w jakimś raju sztucznym, lecz dziwnie uroczym i pełnym zachwytów durzących.... A nagle głos idzie z nizin potężny, że koniec temu królowaniu starej kultury, że surowy podmuch nowego poranka zmiecie te pajęcze siatki wyniańczonych nerwów, i jeżeli z tronów swych między lud nie zstąpią, tłum po ich wątłych ciałach przejdzie stopą brutalną. Wczoraj jeszcze oni tworzyli kulturę i cała społeczność według ich muzyki dusze swoje stroiła, dziś jakaś cudza zalewa ich fala, silna jak morze i jak ono surowa, gorzka i okrutna. Zwołują się ptaki strwożone lecz coraz rzadsze ich hufce i pustka wieje w około. Straszny los orłów zgrzybiałych, lecz ty, ojczyzno, błogosław epoce nowej.

Garść tych luźnych refleksyi nasunęła mi zapowiedź górnoszląskiej wizyty w murach Poznania. Szląsk odrodzony śle pokłon starej ojczyźnie a przybywa z obliczem przyszłości, z zdrowem obliczem ludu, — demokratyczny syn kraju naszego. Oto pierwszą, najczystszą cząstkę Polski ludowej powitamy w górnoszląskich przybyszach. Przedstawicieli starej kultury pochłonęła tam zaborczość niemiecka — polskim pozostał tylko lud ze swoją duszą odrębną, samoistnie przechowaną, świeżą i nieugiętą. To co u nas w Poznańskiem jest w pierwszym okresie rozwoju, co u nas wzbiera dopiero i w zatarasowane bramy uderza, tam na szląskiej ziemi jest czynem spełnionym, rozwojem dokonanym. Demokratyzacya społeczeństwa odbyła się na odrodzonej ziemi w innych jak u nas warunkach, bo lud jeden czucia polskiego nie stracił i jeden tworzy tam Polskę, ale w jakichkolwiek okolicznościach powstała na Szląsku Polska demokratyczna, stanie się ona rozsadnikiem nowej kultury po całych obszarach ojczyzny. Jej samo istnienie, jej zdrowie i hart niespożyty, jej polskość oparta na szerokich masach, zaświadczyły nagle przed całym światem, że na takim fundamencie budować można gmach nowy, — wielki i niewzruszony. I zaświadczyły dalej, że gaszenie ruchu ludowego w innych dzielnicach ojczyzny jest nietylko płonną lecz zgubną robotą, bo gdy staremu organizmowi brak soków żywotnich, nie wolno kłaść tamy nowym przypływom, choćby przypływy te zmienić miały całą fizyonomią społeczeństwa. I cóż? Niechaj się zmieni, byleby w nowych formach żyła ojczyzna. Być może, że nam dzieciom starej kultury oblicze Szląska cudzem się wydaje, ale gdy serce szląskie jest polskiem, my nie wołajmy, że drogoskazy jego wiodą na manowce.

I dziwne zaiste zrządzenie! Przed kilku dniami żegnaliśmy gości galicyjskich o wybitnych znamionach tych wielkich przeobrażeń, którym społeczeństwo ulegać zaczyna. Było to grono ludzi o zdrowych instynktach demokratycznych, żywioły czysto mieszczańskie i ludowe, część nowej Polski, o nowych pojęciach, uczuciach i dążeniach.

Jednym z najwybitniejszych akcentów całej wycieczki były występy galicyjskiego włościanina a w okół grupowały się natury czerstwe, gorące, w pracy o chleb powszedni stwardniałe, nieco surowe lecz silne, niewystudzone i odporne. Powiedział ktoś z przekąsem i z źle utajoną pogardą, że to „demokratyczny najazd“ na wielkopolską stolicę, a ktoś inny dodał, że „dla naprawy opinii“ Galicya arystokratyczną wycieczkę przyśle nam w gościnę, — dziwna ślepota! Galicyi hołd, nie urąganie się należy, że nam część nowej pokazała Polski.

A za dni kilka już może Szląsk pokrewną nutą do nas się odezwie. Przemówi dźwiękiem przyszłości i nadzieją jutra, — błogosławmy więc zwiastunom nowego życia, bo na niem stoi ojczyzna.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Fontane o Sienkiewiczu. Czytelnicy przypomną sobie z przed kilku miesięcy zbiór sądów najgłośniejszych literatów o Bismarcku, ogłoszony w berlińskim tygodniku „Die Gegenwart“. Podaliśmy wówczas w tłómaczeniu najważniejsze głosy i zdania. Najświeższy numer „Gegenwart“ przynosi nam dodatkowo, po wydrukowaniu owego zbioru, zebrane jeszcze odpowiedzi na rozesłane zapytanie: „Co pan sądzisz o Bismarcku?“ Są one stosunkowo mniej zajmujące, ale ciekawym jest dodany na końcu sąd niemieckiego powieściopisarza i publicysty, Teodora Fontane, o wyniku tej jedynej w swoim rodzaju ankiety. Najniespodziewaniej bowiem dowiadujemy się zeń, co jeden z najpoważniejszych przedstawicieli literackiego świata niemieckiego sądzi o Sienkiewiczu. Fontane pisze: „Wiadomym numerem waszego czasopisma sprawiliście mi wielką przyjemność. My, Niemcy, w naszej mądrości politycznej tak w pochwałach, jak w naganach, wystąpiliśmy równie słabo. Dosyć zadowolnili mnie tylko v. Egidy i Max Nordau. Stanley jest zajmujący, Spencera głos ważny, ale bezwstydny. Sienkiewicz wspaniały. Pobił on wszystkich innych o siedm długości konia. Wogóle nigdy nic podobnego nie zdarzyło mi się spotkać pod względem pochwycenia rzeczy i trafienia w same sedno. Sąd jego stawiam po nad wszystko, co w rodzaju szkiców i charakterystyk z pióra naszych angielskich, francuzkich i niemieckich historyków czytałem. Blednie przytem ulubieniec mój Macaulay. Obawiałem się, że przy końcu wyjdzie Polak i to popsuje przepyszne wrażenie, ale oszczędził mi tej przykrości. To, co napisał, całkiem mnie upoiło; bo i prawda, bodaj dla tego, że jest tak rzadką, może człowieka upoić, jak tlen“.

* * *

Lavisse do Wilhelma II. Wielkie wrażenie sprawił wydrukowany w „Revue de Paris“ list otwarty historyka Lavisse'a do cesarza Wilhelma. Wrażenie listu potęguje ta okoliczność, że Francuz ów, historyk Niemiec i Prus, znany jest z bezstronności, z braku szowinizmu i ze szczerej sympatyi i szacunku dla cesarza Wilhelma. Podnosząc sprzeczność pomiędzy pokojowym tonem mów, wygłoszonych przez cesarza w Hamburgu i w Kiel, a przygotowaniami do święcenia pamiątki zwycięztw niemieckiej armii w 1870 i 1871 r., Lavisse zwraca się do wspaniałomyślności Wilhelma, doradza mu zapomnieć przeszłość a zwrócić się do przyszłości, przed wielkiemi zadaniami której bledną bohaterstwa przeszłości. Pięknemi, proroczo brzmiącemi słowami maluje historyk przed oczyma Wilhelma obraz potomności, badającej upadek Europy w przeżywanej przez nas epoce; szukając przyczyn tego upadku, potomność obwini przedewszystkiem tych, którzy mieli władzę podźwignąć z niego Europę, a nie zechcieli. Analizując charakter cesarza Wilhelma, potępi ona jego chwiejność, jego zdolność wyśpiewywania dzisiaj — hymnów na cześć groźnego boga wojny, Aegira, a jutro — dytyrambów na cześć pokoju. Powie ona, że ten, co tak dobrze znał przeszłość i tak doskonale widział przyszłość — pisze Lavisse — miał moc zyskania bezprzykładnej sławy, ale nie umiał on pójść ku przyszłości i po kilku wahaniach pomiędzy przeszłością i przyszłością, zezwolił, że olśniła go właśnie przeszłość, pochwyciła w swoje objęcia i więcej z nich nie wypuściła. Lavisse ubolewa nad tem, ponieważ, jego zdaniem, „cesarz Wilhelm mógłby zgotować sobie wyższy i lepszy los“. — Doniesienia gazet o zamiarze cesarza Wilhelma udania się do Alzacyi i Lotaryngii dla wzięcia udziału w uroczystym obchodzie 25-letniej rocznicy wojny 1870—1871 r., okazują się bezpodstawnemi. Cesarz wróci około 17 sierpnia z Anglii do Berlina i nazajutrz ma być obecnym tamże przy założeniu fundamentu pomnika cesarza Wilhelma I.

* * *

Zasób umysłowy dziecka p. J. Wł. Dawida. Podstawą pedagogii, i to zarówno teoryi jak praktyki pedagogicznej, jest psychologia wychowawcza. Tylko dokładne poznanie dziecka może prowadzić do umiejętnego z niem postępowania. To też większość obecnych wydawnictw pedagogicznych poświęcona jest przeważnie badaniu dziecięcej natury. We wszystkich krajach, w których wychowanie traktuje się poważnie, istnieją gorliwi pracownicy, którzy zajmują się zbieraniem spostrzeżeń nad dziećmi, zestawianiem ich, porównywaniem i wysnuwaniem wniosków, stanowiących cenne dla pedagogów wskazówki. Ponieważ jednak tę metodę postępowania niezbyt dawno zastosowano, ilość materyału jest jeszcze zbyt szczupłą, aby wnioski owe charakteru pewników naukowych nabrać mogły. To też publikując je obecnie, autorowie dążą przedewszystkiem do tego, by badaniami swemi szerszy ogół zainteresować i zachęcić jak największą ilość pedagogów do spostrzeżeń podobnych celem zebrania jak najobfitszego materyału dla doświadczonej pedagogii.

Miło mi zaznaczyć, że w pracy nad badaniem dziecka nie pozostaliśmy bardzo daleko poza innemi narodami. Znany pedagog warszawski, redaktor „Przeglądu pedagogicznego“, p. Dawid, ogłosił w tym czasie drukiem pracę swą p. t „Zasób umysłowy dziecka“, w której zestawia spostrzeżenia swe, czynione nad ilością pojęć i wyobrażeń u dzieci warszawskich, z podobnemi spostrzeżeniami, spisywanemi w kilku miejscowościach Niemiec i Stanów Zjednoczonych.

Ilość posiadanych przez dziecko wyobrażeń stanowić może do pewnego stopnia miarę jego umysłowego rozwoju. W zestawieniu z wiekiem dziecka i warunkami jego życia staje się poniekąd miarą wrodzonych zdolności, a porównanie spostrzeżeń, czynionych nad wielką ilością dzieci, zwłaszcza w różnych warunkach i w różnych miejscowościach żyjących, rzuca poniekąd światło na wpływ otoczenia, rasy, metod wychowawczych i t. d.

W dawniejszej pracy swej „Program spostrzeżeń psychologiczno - wychowawczych nad dzieckiem“, udzielił p. Dawid wskazówek, jak się badania takie odbywać mają. Ułożył on ogólny kwestyonaryusz dla wychowawców, a w nim zamieścił kwestyonaryusz krótszy, odnoszący się wyłącznie do ilości pojęć i wyobrażeń dziecka. Kwestyonaryusz ten, który niezawodnie pracę ułatwia i upraszcza — powtórzył on w swej obecnej książeczce, — dla użytku czytelników, którzy zachęcani bardzo zajmującym rezultatem tej pracy, zechcieliby na swoją rękę badania prowadzić.

Rezultat zaś jest istotnie bardzo zajmujący. Do najciekawszwch i najbardziej pouczających wniosków, wysnutych z zebranych spostrzeżeń, zaliczamy uwagę, iż rozwój umysłowy dziecka odbywa się rytmicznie, w pewnych okresach życia przyspiesza się, w innych słabnie, a zjawisko to spostrzegać się daje zarówno u niemieckich, warszawskich i amerykańskich dzieci. Okresy wzmożonej zdolności przyswajania wyobrażeń wypadają też dla wszystkich mniej więcej dzieci w tym samym wieku. Zdolność ta, spotęgowana między 6-tym i 7-mym rokiem życia, następnie słabnie, — między 8-mym do 10-tym znów się wzmaga — a w okresie między 11-tym a 12-tym doznaje wyraźnego zastoju. Takim samym wahaniom ulegają prawdopodobnie zdolności umysłowe wogóle, a z zestawienia z okresami fizycznego rozwoju wynika, iż o ile pora najszybszego wzrostu nie wywiera wpływu na czynności umysłowe, o tyle znów epoki większego przybierania na wadze stoją do nich w stosunku odwrotnym, czyli, że zdolności dziecka słabną wtedy, gdy masa ciała szybko się zwiększa. Wiadomość ta zawierać może ciekawe i pocieszające objaśnienie dla rodziców, którzy nieraz ze strachem i smutkiem spostrzegają, iż dziecko bystre i rozwinięte naraz staje się stosunkowo tępem i nieudolnem. Fazy takie przechodzą widocznie wszystkie dzieci, są one zatem zupełnie normalnem zjawiskiem. Również zajmujące są porównania, czynione między dziewczętami i chłopcami, dziećmi z miasta i ze wsi, i dziećmi różnych narodowości i różnych sfer społecznych. Ciekawych odsyłamy do książeczki p. Dawida, której przeczytanie niezmiernie korzystnem jest dla wychowawców i powinno ich zachęcić do wzbogacenia materyału statystycznego własnemi spostrzeżeniami. Redakcya „Przeglądu pedagogicznego“ (Warszawa, ulica Złota nr. 26) wdzięczną będzie każdemu, kto jej takiego materyału dostarczy. Na rozszerzeniu pola badań sprawa wychowania wiele zyskać może.

I. M.

* * *

Bismarck w nowej edycyi. Pod tyt. „Zniemczenie wschodu“ podaje pewien R. Richardi w „Gegenwart“ krytykę dotychczasowej polityki antipolskiej rządu pruskiego i nowe własne projekty. Artykuł ten warto poznać bliżej; zawiera on ciekawą mięszaninę myśli uczciwych i krytycznych, obok wybryków szalonej ku nam nienawiści i najpotworniejszych planów prześladowczych. W dotychczasowych ustawach i krokach antipolskich widzi autor walkę: 1) przeciw kościołowi katolickiemu, (która w rezultacie zamiaru nie osiągnęła); 2) przeciw robotnikom i chłopom, przez wydalenie obcopoddanych (która w rezultacie wyszła na szkodę produkcyi rolniczej); 3) przeciw szlachcie, przez działalność komisyi kolonizacyjnej (co chybiło celu), i 4) przeciw mieszczaństwu polskiemu, przeciw kupcom i rzemieślnikom, przez agitacyę spółki H. K. T., która ma bojkotować i zniszczyć średnie warstwy polskie, zastępując je niemieckiemi. Wszystkie powyższe środki są zdaniem autora nietylko chybione, ale w najwyższym stopniu barbarzyńskie, niechrześcijańskie, pod względem moralnym podłe i brudno-geszeftciarskie. Na tym punkcie trzymamy „Gegenwart“ za słowo. Cóż więc radzi nowy apostoł? Oto wychodzi z założenia, że państwo niemieckie ma prawo żądać, aby jego poddani umieli dobrze po niemiecku, a skoro będą znali ten język, stanie się mowa polska, a wraz z nią kultura polska, zupełnie zbyteczną. Proponuje więc ustawę, podług której każdy Polak, który po 25 latach nie będzie umiał po niemiecku, ma być politycznie pozbawionym praw obywatelskich. a ekonomicznie — oddanym pod kuratelę i t. d.... Coraz lepiej! Ani słowa!

* * *

„Monitor“ nr. 18. (tygodnik polityczno-literacki) wyszedł i zawiera: W gnieździe ós i szerszeni. — Mamy broń! — Rządy wójtów w Sniatyńskiem. — Listy z kraju. — Bankructwo egoizmu. — Bourget o Maksymilianie Ducampie. — Nauka a mity o człowieku. — Fejleton: — Podpalacz (wiersz) przez Probierczyka. — Sztuczka cudotwórcy przez L. Fausta.

KRONIKA POWSZECHNA.

Redaktor pisma naszego p. dr. Władysław Rabski wyjechał na trzy tygodnie.

* * *

* **Wiadomości społeczne i polityczne** Półurzędowa „Allg. Ztg.“, wychodząca w Monachium, zaczęła znów agitować za powiększeniem floty niemieckiej. — Do kasy rzeszy wpłynęło na czysto (po odciągnięciu kosztów administracyjnych i premii wywozowych) od 1 kwietnia do 1 lipca roku bieżącego z ceł 82,320,793 marek (9,492,068 marek więcej niż w tym samym czasie roku zeszłego), z podatku tytoniowego 1,978,682 marek, z podatku od cukru 20,551,166 (— 1,573,171) marek, od soli 10,525,012 (+ 395,820) marek. od zacieru i materyałów gorzelniczych 4,848,955 (— 825,114) marek, z podatku konsumcyjnego od okowity i dodatku 25,250,626 (+ 786,375) marek, z podatku od piwa 6,778,551 (+ 170,861) marek. Razem 152,253,785 (+ 8,151,211) marek. — Program agrarny, wypracowany z polecenia przeszłorocznego zjazdu socyalistów niemieckich w Frankfurcie przez osobną komisyę, nie zupełnie podoba się stronnictwu. W obronie jego staje niejako z urzędu Bebel, poszczególne pisma wiele mają mu do zarzucenia. Hamburskie „Echo“ pochwala go w ogólności, ale twierdzi, że jest niepraktyczny, a prócz tego może wywołać nieporozumienie; „Volksblatt für Harburg“ potępia go o tyle, że prowadzi do socyalizmu państwowego, na który się stronnictwo nie zgadza; „Leipz. Volksblatt“ twierdzi, że zadaniem socyalizmu jest nie polepszenie istniejącego ustroju, do czego dąży program, lecz obalenie go i stworzenie zupełnie nowych stosunków; „Sachs. Arbeiterztg“ pyta, czy program wogóle jest socyalistycznym? Żądania w nim stawione mogłaby stawić tak samo demokracya chłopska, a o głównem żądaniu stronnictwa, doprowadzeniu do komunizmu, wcale w nim nie ma mowy. Podobnie wyrażają się elberfeldzka „Fr. Presse“ i augsburski socyalista Brader. — Stronnictwo liberalne w Anglii poniosło stanowczą klęskę w ostatnich wyborach. — W Rzeszowie odbył się zjazd delegatów stronnictwa ludowego w Galicyi. Doniosłym rezultatem obrad jest utworzenie centralnego komitetu wyborczego o charakterze demokratycznym.

* **Teatr i muzyka.** Gabryela Zapolska wystąpi gościnnie w teatrze łódzkim. Wyrażamy życzenie, aby i dyrekcya poznańskiego teatru postarała się o występy głośnej powieściopisarki i artystki. — Za dni kilka ukaże się w operze warszawskiej „Sprzedana narzeczona“, która tak bardzo zainteresowała polską publiczność od chwili, gdy ją za arcydzieło okrzyknięto — w Wiedniu. Bawi w Warszawie naczelny baletmistrz praskiego „Narodnego Divadla“, pan Berger, sprowadzony umyślnie w celu ułożenia narodowych tańców czeskich, jakie w operze będą wykonane. A tymczasem pan Edward Jelinek prostemi, ale wzruszającemi słowami kreśli w jednym z dzienników życiorys Bedrzycha Smetany, twórcy „Sprzedanej narzeczonej“, będącego zarazem twórcą i czeskiej muzyki. Smetana, który napisał wiele innych oper oraz symfonii, poczytywał „Naczeczoną“ za igraszkę i zbyt wielkiej wagi do dzieła tego nie przykładał. Co dziwniejsza, i sami Czesi nie stawiali opery tej na wysokości, jakiej jest wartą. Uwagę rodaków na arcydzieło zwrócił dopiero stempel zagranicy. „Alte Geschichte!“... — Występy Mieczysława Frenkla na lwowskiej scenie stały się jednym szeregiem tryumfów. — Kazimierz Zalewski napisał świeżo nowy utwór dla sceny. Nosi on tytuł „Prolog“ i jest poetyckim obrazkiem, przeznaczonym na rozpoczęcie widowiska teatralnego. Osobami działającemi są: poeta, aktor, Apollo i muzy.

Zmarli:

* **Jerzy Patinot,** naczelny redaktor „Journal des Debats“, zm. w Paryżu w połowie lipca.

* **Dr. Władysław Drużyłowski,** tłomacz licznych dzieł naukowych, zm. w Płocku w początkach lipca.

Odpowiedzi Redakcyi.

En. Prosimy zgłosić się w początkach września.

A. B. C. Korzystać nie możemy, bo utwór nosi wyraźną cechę pamfletu. Radzimy udać się do „Kuryera Poznańskiego“.

F. Zamieścimy; prosimy jednakże o cierpliwość.

Sigma. Polecamy francuzko-niemiecki i niemiecko-francuzki słownik Sachsa. Słownik Thibauta dziś już za przestarzały uważać należy.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.